

Ewa wzywa 07...



Zygmunt Zeydler-Zborowski
ZŁOTY CENTAUR



Alibi Baba

WIKORY

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Zygmunt Zeydler-Zborowski

ZŁOTY CENTAUR



ISKRY • WARSZAWA • 1969

ROZDZIAŁ I

Nie mógł już dłużej wytrzymać.

Cały dzień przez kolorową zasłoną prażyło słońce. Nagrzane wielogodzinnym upałem powietrze było gęste i lepkie jak błotna kąpiel.

Na kartce papieru czerniło się kilka zdań. Przeczytał je jeszcze raz, skrzywił się z obrzydzeniem i odsunął od siebie maszynę. Strugi potu spływały mu po plecach.

Wstał, poszedł do łazienki, zrzucił slipy i odkręcił prysznic. Wiedział, że to tylko chwilowa ulga, że potem będzie jeszcze gorzej, ale nie mógł oprzeć się pokusie.

Żeby chociaż Joanna była ze mną - myślał, wycierając się kosmatym ręcznikiem. Nie lubił, kiedy Joanny nie było w domu. Ale przecież to on ją namawiał, żeby pojechała do matki. Wolał to niż dwudniową wizytę teściowej. Zresztą miał zamiar pracować.

Zajrzał do pokoju Joanny. Tu także było duszno, ale nie tylko duszno. W powietrzu unosił się intensywny zapach smażonego dorsza. Najwidoczniej sąsiedzi z dołu zabrali się do przygotowywania wczesnej kolacji.

To przyśpieszyło decyzję, która zaczynała się wykluwać już w łazience. Niedbale narzucił na siebie koszulę i spodnie, wsunął stopy w sandały i wybiegł z mieszkania. Wiedział, że nie napisze tego artykułu, a bezmyślne ślęczenie przy maszynie nie miało najmniejszego sensu.

Ulice były pełne upału. Domy jak ogromne piece wyrzucały żar ze swych murów. Rozmiękły asfalt ugiął się pod nogami.

Marceli zszedł w dół i minąwszy Park Kultury, znalazł się nad Wisłą. Tu było trochę chłodniej. Mógł swobodniej odetchnąć.

Usiadł na trawie i patrzył na rzekę. Po praskiej stronie plaże roily się od ludzi, mimo iż słońce już się zniżyło. Na moście dudniły przepełnione tramwaje.

Siedział tak może godzinę, może trochę dłużej. Rytmiczny ruch wody działał nasennie. Powieki stawały się coraz cięższe. Miły bezwład ogarniał całe ciało.

I nagle pojawił się niepokój. Zrodził się najzupełniej niespodziewanie i uderzył na alarm.

Czy zamknąłem mieszkanie? Rany boskie, czy zamknąłem mieszkanie? W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć momentu przekręcenia klucza w zamku.

Senność w jednej chwili zniknęła. Zerwał się i ruszył z powrotem przez Park Kultury. -Radio, lodówka, telewizor... Wszystko wyniosą, absolutnie wszystko, jego ubrania, sukienki Joanny, bieliznę... Zaczął biec.

Zadyszany zwolnił w Alejach Ujazdowskich i skręcił w kierunku Wilczej. Rozhuśtana wyobraźnia tworzyła obrazy pełne grozy. Widział drabów ogałających mieszkanie. Jednocześnie uświadomił sobie, że zapomniał odnowić polisę asekuracyjną. Miał to załatwić w zeszłym tygodniu, ale tak jakoś zeszło...

Znowu przyspieszył kroku. Nie czekając na windę, wbiegł na trzecie piętro. Mieszkanie było oczywiście zamknięte. Wszystko w najzupełniejszym porządku. Włamywaczy ani śladu.

Marceli odetchnął z ulgą i wytarł spocone czoło. Przez chwilę zastanawiał się, co robić. Nie miał ochoty siedzieć w czterech ścianach, tym bardziej, że jeszcze ciągle nie było czym oddychać. Zadzwoić do któregoś z kolegów? Nie miał ochoty na wódkę, a zresztą kogóż o tej porze w sobotę mógłby zastać w domu? Więc co? A może do kina? Ten pomysł najbardziej mu się podobał. Wziął „Express” z biurka i zaczął przeglądać kina. W „Kongresowej” szedł kryminalny film francuskiej produkcji. Już dawno miał ochotę zobaczyć go. Ale czy dostanie jeszcze bilet? Bardzo wątpliwe. Postanowił spróbować.

Kasy były zamknięte. Wszystkie bilety na dwudziestą sprzedane. Marceli doznał uczucia ogromnego rozczarowania. Miał jednak nadzieję, że jedno miejsce znajdzie się dla niego. Nagle zrodziła się w nim gwałtowna chęć, żeby obejrzeć ten film. Lubił kryminały i podobała mu się Simone Signoret, a poza tym sala Kongresowa miała klimatyzację. Nareszcie trochę chłodnego, orzeźwiającego powietrza.

Stał niezdecydowany i posępnym spojrzeniem odprowadzał ludzi śpieszących do kina.

A może jakiś konik? - I nagle, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, pojawił się przy nim szczupły, młody człowiek.

- Potrzebuje pan bilecik? - spytał konfidencjonalnym szeptem.
- Tak, jeden.
- Mam jak raz jeden. Sam środeczek.
- Ile?
- Trzy dychy.
- Dwadzieścia pięć - zaproponował Marceli.

Szczupły blondyn rzucił wokoło szybkie, niespokojne spojrzenie.

- No, dobra. Niech będzie moja strata. Chodź pan trochę na bok.

Po chwili Marceli podawał bileterowi zdobyty bilet. Był bardzo zadowolony, że udało mu się dostać do kina, ale jednocześnie dręczyły go wyrzuty sumienia. Nie tak dawno przecież wydrukował energiczny artykuł wymierzony przeciwko „konikom”.

Rewia mody dobiegała końca. Odnalazł swoje miejsce i bez większego zainteresowania patrzył na kościste modelki, prezentujące najnowsze „kreacje” Centralnego Domu Towarowego. Sympatyczny pan, stojący przed mikrofonem, zachwalał sukienki, kostiumiki i garsonki. Wreszcie ostatnia modelka zniknęła za kulisami, pianista uderzył końcowy akord światło na sali zgasło. Podczas kroniki Marceli zauważył, że miejsce z prawej strony nie było zajęte. Więc jednak nie wszystkie bilety sprzedane - pomyślał. - A może ktoś się spóźnił, może przyjdzie po kronice? Ciekawe, kto to będzie: mężczyzna, kobieta? Ktoś samotny. Może jakaś staruszka.

Nie, to nie była staruszka. Aż się zdziwił, że taka śliczna dziewczyna przyszła sama. Spojrzała na niego. Wydało mu się, że w dużych, ciemnych oczach dojrzał porozumiewawczy błysk.

Zaczął się film. Przez pewien czas Marceli kątem oka obserwował swą sąsiadkę. Niebawem jednak akcja tocząca się na ekranie zaczęła przykuwać jego uwagę. Już na samym początku w pociągu znaleziono ciało zamordowanej młodej kobiety. Była trochę podobna do tej z prawej strony.

Film był nieźle zrobiony i akcja toczyła się wartko. W pewnej chwili Marceli poczuł, że dziewczyna podaje mu paczkę zawiniętą w papier. Zdziwił się, ale nie zdążył zareagować, bo właśnie rozpoczął się na ekranie pościg za mordercą.. Siedział zaciskając kurczowo palce na zawiniątku, zupełnie tak, jakby to on prowadził samochód policyjny w zawrotnym tempie. Sala rozbłysła światłem. Oprzytomniał. Miejsce po jego prawej stronie było puste.

Rozejrzał się, szukając wśród wychodzących dziewczyny o czarnych oczach. Nie mógł jej dostrzec. Trochę zdziwiło go to, że tak szybko zniknęła. Przecież jeszcze nie mogła wyjść. Zapomniała paczki. A w ogóle dlaczego dała mu ją do potrzymania? Co to znaczy? Zapatrzony w ekran nie zauważył, kiedy wstała i wyszła. Jak to się stało?

Zaczął przepychać się do wyjścia. Chciał wsunąć tajemniczą paczkę do kieszeni marynarki, ale się nie zmieściła. Sądził, że dziewczyna czeka na niego przed kinem, żeby odebrać swoją własność.

Na dworze było duszno. Ponad domami kłębiły się gęste chmury przecinane zygzakami błyskawic. Zbierało się na burzę.

Zbiegł po schodach, szukając wzrokiem dziewczyny. Nie było jej.

Zapomniała o swojej paczce - pomyślał. - Co za idiotka.

Zaczął iść w kierunku Alei.

Nagle podeszło do niego dwóch mężczyzn.

- Pan pozwoli z nami.

Cofnął się gwałtownie, szykując się do obrony. Był przekonany, że napadają go chuligani. Błyskawicznie ocenił sytuację. Nie wyglądali na atletów. Mógł zaryzykować.

- Pan pozwoli z nami do radiowozu - powtórzył niższy. - Milicja.

Dopiero teraz Marceli zauważył stojący opodal radiowóz.

- O co chodzi?

- Porozmawiamy w komendzie. Pan pozwoli z nami. Proszę nie stawiać oporu.

- Ależ ja nie mam zamiaru... Nic nie rozumiem... Czego panowie chcą ode mnie?

- Porozmawiamy w komendzie. Proszę, niech pan siada. Chyba nie zależy panu na zbiegowisku.

Marceli posłusznie wsiadł do szarej warszawy. Był zupełnie oszołomiony. Nie mógł zrozumieć, co znaczy ta cała historia. Dopiero po chwili przyszło mu na myśl, że może powinien się wylegitymować. Sięgnął do kieszeni i wyjął legitymację dziennikarską.

- Jestem dziennikarzem. Panowie chyba się pomylili. Proszę, oto moja legitymacja.

Siedzący koło niego mężczyzna nawet nie spojrzał w tym kierunku.

- Niech mi pan da tę paczkę - powiedział.

- To nie moja paczka. Jakaś dziewczyna dała mi ją w kinie do potrzymania.

- Dobra, dobra.
- Ależ zapewniam, że...
- Porozmawiamy w komendzie.

Zrezygnowany Marceli umilkł.

Radiowóz zatrzymał się przed Pałacem Mostowskich. W tym momencie lunął ulewny deszcz.

Było ich trzech. Dwóch po cywilnemu i jeden w mundurze. Miał dwie gwiazdki.

Zwracał się do tamtych per „towarzyszu majorze” i „towarzyszu kapitanie”. Major miał prawie dwa metry wzrostu i chudą, pociągłą twarz ascety. Kapitan to był ten, który odebrał w wozie od Marcelego paczkę. Średniego wzrostu, krępy, dobrze zbudowany. Mówił krótkimi, zwięzłymi zdaniami i starał wyraźnie akcentować każde wypowiedziane słowo.

- Proszę, miech pan siada.

Marceli usiadł posłusznie i spojrzał pytająco na oficerów.

- Zupełnie nie rozumiem...
- Chwileczkę - przerwał mu barczysty kapitan. - Nie przypuszcza pan chyba, że sprowadziliśmy tutaj pana, żeby porozmawiać na temat filmu.
- Właśnie nie mogę pojąć...
- A czy pan nie przypuszcza, że pańska bytność w komendzie ma coś wspólnego z paczką, którą otrzymał pan w kinie?

- Nie mam pojęcia, co ona zawiera. Ta młoda osoba dała mi ją do potrzymania.

- Do potrzymania? - Kapitan skrzywił się z niesmakiem. - Jak na dziennikarza, obrał pan niezbyt inteligentną taktykę.

- Ależ słowo panu daję, że...
- ...że nic pan nie wiedział o tym, że w paczusce znajdują się narkotyki - dokończył kapitan.
- Narkotyki? !
- To zdziwienie odegrał pan zupełnie nieźle.

Marceli zaczynał się denerwować nie na żarty. Zrozumiał, że wpakował się mimo woli w paskudną historię.

- Zapewniam panów, że nie miałem pojęcia, co jest w tej paczce. Usiadła babka koło mnie i podczas filmu wepchnęła mi w rękę to paskudztwo. Skądżeż mogłem wiedzieć...

- Jak się nazywa ta dziewczyna? - spytał kapitan.
- Skąd mogę wiedzieć, jak się nazywa, kiedy ją widziałem po raz pierwszy w życiu i nie zamieniłem z nią ani słowa.

Chudy major, który dotychczas zachowywał całkowite milczenie, utkwiał nieruchome spojrzenie swych wypłowiałych oczu w Marcelim. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili. Mówił cicho, a głos miał trochę nosowy timbre.

- Miałbym, panie redaktorze, pewną propozycję. Chodzi o to, żebyśmy nie tracili niepotrzebnie czasu. Po cóż mamy denerwować pana i siebie? Rozumiemy przecież, że każdy może w życiu popełnić Jakiś fałszywy krok. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Proponuję, żeby pan pomógł nam w rozszyfrowaniu tej sprawy i w zlikwidowaniu szajki handlarzy narkotyków. My ze swej strony możemy panu

obietac, że dołożymy wszelkich starań, aby pan nie otrzymał zbyt wysokiego wyroku. Współpraca z milicją wpłynie niewątpliwie na złagodzenie kary. Jestem skłonny przypuszczać, że pan rzeczywiście nie zna tej dziewczyny. Chcielibyśmy natomiast otrzymać od pana następującą informację: komu pan miał przekazać towar?

Marceli trząsł się.

- Więc... więc panowie rzeczywiście nie wierzycie, że ja z tą sprawą nie mam nic wspólnego?

- Nie - padła sucha, lakoniczna odpowiedź.

- Jak mam panów przekonać?

- Najlepiej niech pan nam powie, komu miał pan przekazać towar otrzymany od tej dziewczyny.

- Nic nie wiem o żadnym towarze - jęknął Marceli. - Nie handluję narkotykami. Rozumie pan? Nie handluję narkotykami!

Oficerowie spojrzeli po sobie.

- Więc pan odmawia zeznań? - spytał major.

- Nie mogę powiedzieć tego, czego nie wiem! Dajcie mi święty spokój !

- Pan jest żonaty?

- Tak.

- Czy pańska żona jest w tej chwili w Warszawie?

- Nie. Pojechała na sobotę i niedzielę do matki, do Świdra.

- Kiedy wróci?

- Ma wrócić jutro wieczorem.

- Zawiadomimy pańską żonę.

- O czym macie ją zawiadomić?

- Że chwilowo został pan zatrzymany.

- Chcecie mnie aresztować?

- A pan sobie wyobraża, że mogłoby być inaczej?

Marceli zerwał się. Z trudem wyrzucał słowa ze ściśniętego gardła.

- Ależ panowie... nie żartujcie. Przecież ja w poniedziałek muszę iść do redakcji... muszę napisać artykuł. Nie możecie mnie zamknąć. To nie ma sensu. Ja o niczym nie wiem. Jestem niewinny!

- To się okaże - powiedział spokojnie chudy major. - Sprawdzimy, przeprowadzimy dochodzenie. Jeżeli to prawda, że padł pan ofiarą przypadku, oczywiście będzie pan wolny. Na razie jednak...

- Na razie jednak zamkniecie mnie do kryminału.

Major rozłożył ręce.

- Niestety, tak być musi. W poniedziałek zostanie panu doręczony nakaz aresztowania. Przykro mi, ale nie możemy postąpić inaczej.

Marceli siedział jak sparalizowany. Gorączkowo szukał jakiegoś argumentu, który mógłby przekonać tych ludzi, że przecież on... Niestety nic mu nie przychodziło na myśl. Powiedział już wszystko, co mógł powiedzieć w tej sprawie. Czuł chłodną pustkę pod czaszką. I nagle olśnienie.

- Chciałbym się porozumieć z majorem Downarem.

Wszyscy trzech spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

- To pan zna majora Downara?

- Nie tylko go znam, ale przyjaźnimy się od dawna. Niejeden reportaż napisałem korzystając z jego pomocy.

- Przypuszczam, że w poniedziałek będzie pan mógł się zobaczyć z majorem Downarem

- powiedział chudy olbrzym. - Nie widzę żadnych przeszkód.

- A do poniedziałku?

- Na razie musimy pana zatrzymać. Nic na to nie poradzę.

Marceli wzruszył ramionami. Zaczynała go ogarniać apatia. Miał już dosyć tej całej gadaniny, która nie prowadziła do niczego. Mógł ich całą noc przekonywać o swojej niewinności, a oni i tak by nie uwierzyli. Został schwytyany na „gorącym uczynku”. Prawdę mówiąc nie mógł mieć do nich pretensji, że mu nie wierzą.

Oficerowie patrzyli na niego wyczekująco. Najwidoczniej ciągle jeszcze mieli nadzieję, że zacznie mówić. Niejeden przecież już się załamał, mając w perspektywie celę więzienną.

- No więc jak, panie redaktorze? - spytał łagodnie major - Nic już nam pan nie powie?

Marceli popatrzył na niego obojętnie.

- A cóż ja wam mogę powiedzieć? I tak mi nie uwierzycie. Nie mam żadnych argumentów na poparcie moich słów. Zamykajcie mnie do pudła. Mówi się trudno.

Major pokiwał głową.

- Uparty z pana człowiek, panie redaktorze.

ROZDZIAŁ II

Joanna zadzwoniła do szpitala, że nie przyjdzie. Zapytana o powód odpowiedziała:

- Ważne sprawy rodzinne.

Sprawy rodzinne były rzeczywiście dosyć ważne, a nawet poważne. Mąż w kryminale.

Wróciła w niedzielę wieczorem z naręczem polnych kwiatów. Była odurzona słońcem i leśnym powietrzem. Pobyt na „łonie natury” nastroił ją romantycznie. Z rozczuleniem myślała o biednym Marcelim, który w taki upał musi ślęczeć nad jakiś tam artykułem. Miała wielką ochotę być z nim jak najprędzej.

A tymczasem Marcelego ani śladu. Krążyła po mieszkaniu, szukając jakiejś kartki, jakiegoś znaku. Absolutnie nic. Otworzyła maszynę i zobaczyła zaczęty artykuł, zaledwie kilka zdań. Zaczęła wzbierać w niej pasja.

Więc to tak - myślała. - Więc nie chciał pojechać do mamy, mówiąc, że ma pilną robotę, że musi napisać na poniedziałek, a tu niedziela wieczór i nic - ani jego, ani artykułu. Na pewno poderwał sobie jakiegoś kociaka. Być może, że już w piątek się umówił. Przypomniała sobie teraz taki jeden tajemniczy telefon. Łajdak, skończony łajdak.

Przygotowała kolację i czekała, ale Marceli nie wracał. Zaczęła się niepokoić.

A może mu się coś stało? Przecież wiedział, że ona wraca w niedzielę wieczorem. Gdyby nawet miał zamiar gdzieś się wypuścić, zrobiłby to w sobotę, z soboty ma niedzielę. Gdzie on się podziewa u licha?

Około jedenastej zadzwonił telefon. Była pewna, że Marceli. Jednym susem znalazła się przy aparacie. W słuchawce usłyszała urzędowy głos:

- Tu kapitan Nowicki z Komendy Miasta. Czy mówię z panią Doniecką?

W ten sposób dowiedziała się o wszystkim. Z początku nie chciała wierzyć. Przypuszczała, że to jakiś głupi kawał, że to ktoś ze znajomych... Ale kiedy kapitan Nowicki przyjechał do niej w towarzystwie jeszcze jednego oficera, zrozumiała, że to nie są żarty, że Marceli rzeczywiście siedzi.

Rozmawiali z nią przeszło godzinę, zadawali masę różnych pytań, chcieli się dowiedzieć szczegółów z życia Marcelego, z ich wspólnego życia. Była tak oszołomiona tym wszystkim, że dawała bardzo mętne odpowiedzi. Czuła, że to, co mówi, brzmi trochę dziwnie. Widziała, że przyglądają jej się uważnie, a nawet trochę podejrzliwie.

Wreszcie zaczęli się żegnać. Spytała, czy będzie mogła odwiedzić męża.

- Niech pani przyjdzie rano do komendy - powiedział Nowicki. - Załatwimy to.

W tej sytuacji nie mogła przecież w poniedziałek jechać do szpitala. Pojechała do Pałacu Mostowskich.

Marceli był mizerny i mimo iż nadrabiał miną, widać było, że go przygnębiła ta cała historia. Próbował żartować, ale mu to nie bardzo wychodziło.

- Czyś ty zwariował? - wsiadła na niego Joanna. - Handlujesz narkotykami? Oszalałeś? Rozumiem, że chcesz kupić samochód, ale...

- Przestań! - ryknął Marceli. - Jesteś skończoną kretynką. Czy ty naprawdę myślisz, że ja handluję kokainą czy jakąś inną heroiną?

Kłócili się przez dłuższą chwilę. Wreszcie oboje, trochę zmęczeni, zaczęli rozmawiać spokojniej.

- Trzeba chyba wziąć jakiegoś adwokata - zaproponowała Joanna.

- Na to jeszcze będzie czas. Na razie porozum się z Downarem.

- A rzeczywiście, z Downarem. Że też mi to wcześniej nie wpadło do głowy.

- Bo tobie w ogóle bardzo rzadko wpada coś do głowy.

- Miły jesteś.

Machnął ręką.

- Daj spokój. Jakbyś dwie noce spędziła w ciupie, to na pewno nie byłabyś miłsza. Widzenie dobiegło końca. Joanna natychmiast wyruszyła na poszukiwanie Downara.

Okazało się, że w sobotę wyjechał do Gdańska i jeszcze nie wrócił. Wszyscy w komendzie twierdzili jednogłośnie, że powinien pojawić się lada chwila.

Joanna знаła adres Downara. Postanowiła wziąć pod obserwację dom, w którym mieszkał, wychodząc z założenia, że po podróży będzie chciał się umyć i przebrać. Pojechała więc na Koszykową. Po drodze kupiła sobie na Mokotowskiej dużą porcję lodów i liżąc zimną słodycz rozpoczęła dyżur. Mogła wprawdzie pójść do domu i próbować porozumieć się telefonicznie, ale bała się, że Downar albo nie odbierze telefonu, albo wpadnie tylko na chwilę i zaraz gdzieś zniknie. Nie mogła ryzykować. Sprawa była zbyt poważna.

Około drugiej zobaczyła go, jak wysiadał z wozu. Podbiegła uradowana i krzyknęła:

- Panie Stefanie!

Spojrzał na nią zdumiony.

- A pani co tu robi?

- Czekam na pana. Już prawie dwie godziny.

- Na mnie? Dwie godziny? Co się stało?

- Nie mogę na ulicy...

Popatrzył na nią uważnie.

- Coś poważnego?

- Coś bardzo poważnego. Marceli...

- Proszę, niech pani wstąpi do mnie na górę.

W windzie szepnęła mu na ucho:

- Marceli siedzi.

- Siedzi? Za co?

- Narkotyki.

- O, do diabła.

- To straszne. Musi go pan ratować.

- Proszę, niech pani wejdzie. - Pośpiesznie otworzył drzwi i wpuścił ją do mieszkania. - Dopiero wróciłem z Gdańska - wyjaśnił. - Jeżeli pani pozwoli, to trochę się umyję po podróży i zaraz pani służyć. Wprost nie chce mi się wierzyć, żeby Marceli...

- Ja także nie mogę w to uwierzyć...

Po kilku minutach Downar, odświeżony, słuchał trochę chaotycznej opowieści.

- Czy pani jest pewna, że to Nowicki prowadzi tę sprawę?

- Tak. Kapitan Nowicki.

- Pomówię z nim. Czy pani ostatnio nie zauważyła, że Marceli wpadł w jakieś nieodpowiednie towarzystwo?

- Chyba nie. Zresztą nie bardzo wiem, co pan rozumie przez „nieodpowiednie towarzystwo”. Ci wszyscy dziennikarze, literaci, z którymi Marceli przestaje, to w ogóle takie jakieś typy.

- Jedyni ludzie godni zaufania to medycy - uśmiechnął się Downar.

- A żeby pan wiedział. Czy pan myśli, panie Stefanie, że można będzie wyciągnąć Marcelego? Żeby chociaż na razie nie siedział. To na niego fatalnie wpływa. On jest zupełnie nieprzyzwyczajony do siedzenia. Ma takie ruchliwe usposobienie.

- Zobaczę, co się da zrobić. Zaraz jadę do komendy.

*

- Więc to jednak była kokaina.

- Tak. Spora ilość. Prawie pół kilograma.

Downar zapalił papierosa i wypuścił dym nozdrzami.

- Jakie opakowanie?

- Takie poduszeczki z ciemnobrązowego plastyku. Może widziałeś kiedyś olejek do opalania w takim opakowaniu. Wszystko to było ułożone w kartonie: i zawinięte w zwyczajny pakowy papier.

- Kazałeś zdjąć odciski palców?

- Oczywiście. Tylko kciuk i palec wskazujący prawej ręki. Albo facet na

lewej ręce miał rękawiczkę...

- Albo w ogóle nie miał lewej ręki - uzupełnił Downar. - Nie bardzo rozumiem, jak to się stało, że Marcelli nie spostrzegł, iż ta dziewczyna wychodzi w czasie projekcji filmu. Musiała się przecież przepychać.

- Siedziała przy samym przejściu. Mogła błyskawicznie wstać i nie ruszając nikogo spłynąć.

Downar pokiwał głową.

- Tak. W tej sytuacji to prawdopodobne, tym bardziej że to jakiś atrakcyjny film. Ale dlaczego pozwoliliście prysnąć tej cizi? Z twojego opowiadania wynika, że obstawiliście „Kongresową”.

Nowicki bezradnym ruchem rozłożył ręce.

- Tego właśnie zupełnie nie rozumiem. Nasi ludzie pilnowali „Kongresowej”. Ta dziewczyna nie wyszła ani podczas trwania filmu, ani potem. Przypuszczam, że musiała wejść do toalety i ucharakteryzować się na przykład na garbatą staruszkę.

- To bardzo prawdopodobne - przyznał Downar. - Jeżeli spostrzegła, że macie ją na oku... Powiedz mi, Władziu, czy ty rzeczywiście upierasz się przy tym, żeby trzymać w pudle Marcelego?

- No, chyba to przepisowo...

- Być może, że przepisowo, ale wydaje mi się, że w danym wypadku takie posunięcie nie jest zbyt szczęśliwe.

- A jak ty sobie to właściwie wyobrażasz? - obruszył się Nowicki. - Nakrywamy faceta z paką kokainy i mamy go wysłać na wczasy? A może jeszcze jakiś order dla niego wykombinujesz? Sytuacja chyba jest zupełnie jasna i nie widzę żadnego powodu...

- Nie ciskaj się, Władeczku - powiedział pojednawczo Downar. - Zapal sobie papieroska i posłuchaj, co ci powiem. A więc przede wszystkim absolutnie nie wierzę w to, żeby Marcelli był zamieszany w handel narkotykami. Znam go od bardzo dawna i według mnie to nie jest człowiek, który poszedłby na tego rodzaju historie.

- Perspektywa dużych zarobków bardzo ludzi zmienia - zauważył Nowicki.

- Zgoda. Załóżmy nawet, że facet dał się lekkomyślnie wciągnąć w kokainową aferę.

Czy nie sądzisz, że lepiej mieć go wolności i obserwować, sprawdzić jego kontakty, zobaczyć, jak się będzie zachowywał?

- A jeżeli pryśnie?

Downar pokręcił głową.

- Gdzie może prysnąć? Ma tu mieszkanie, żonę, pracuje w redakcji. A zresztą my jesteśmy od tego, żeby mu nie pozwolić na żaden nierozważny krok. Widzisz, Władziu, ja zawsze jestem przeciwny zamykaniu ludzi. Wsadzasz faceta do pudła i koniec, ślad się urywa. To nic nie daje. Niech siedzi po wyroku.

Nowicki w zamyśleniu żuł ustnik nie zapalonego papierosa.

- W zasadzie przyznaję ci rację, ale...

Downar klepnął go po ramieniu.

- Cieszę się, żeśmy się dogadali. Wiesz, co ci powiem? Mnie się zdaje, że po prostu babka zorientowała się, że macie ją na oku i postanowiła pozbyć się

towaru. Liczyła na to, że potem odbierze sobie. A może jej wspólnicy mieli śledzić Marcelego i zabrać mu tę paczkę?

- Więc uważasz, że należy go zwolnić?
- Oczywiście. Zwolnić i obserwować, co się będzie dalej działo.
- Trzeba to uzgodnić z naszym starym i z prokuratorem - powiedział

Nowicki.

- Niewątpliwie - przytaknął Downar. - powiedz mi, czy uważasz, że to się łączy z tamtą historią?

- Masz na myśli „Aligatora”? Chyba tak. Wszystko wskazuje na to, że to ta sama szajka. Trudno ich nakryć. Mają szerokie powiązania i działają bardzo fachowo. Liczę na ciebie, Stefanku. Chyba się włączysz do tej sprawy, choćby ze względu na przyjaciela-dziennikarza.

Downar uśmiechnął się.

- Nie jest wykluczone, że się włączę, ale nie przeceniaj moich talentów. Jeżeli to jest taka mocna organizacja międzynarodowa, to niełatwo będzie sobie z nią poradzić. Powiedz mi, skąd przypuszczalnie idzie towar? Ze Wschodu oczywiście.

- Tak. Najprawdopodobniej z Iranu. U nas zrobili sobie bazę przerzutową, a potem przerzucają dalej. Szwajcaria, Belgia, Anglia, Niemcy Zachodnie, może Austria. To jest duży interes.

- Transport morzem albo samolotami - powiedział Downar.

Nowicki skinął głową.

- Tak. Chociaż nie można wykluczyć i kolejowego transportu. Ja osobiście odnoszę wrażenie, że najwięcej towaru idzie drogą morską. Na statku są nieograniczone możliwości dla szmuglerów...

- Oczywiście - przytaknął Downar. - Na takim frachtowcu można słonie przeszmugłować, nie tylko trochę białego proszku. Powiedz mi, jak się właściwie skończyła sprawa „Aligatora”?

- Wcale się nie skończyła, bo w ogóle się nie zaczęła. Facet umarł w szpitalu nie odzyskawszy przytomności. Wszystko się urwało.

Downar umilkł. Widać było, że rozmyśla nad czymś intensywnie. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Chciałbym zobaczyć się z Marcelim.

*

Marceli zmizerniał i stracił swój zwykły wigor. Najwidoczniej słabo znosił los aresztanta. Dowiedziawszy się, że zostanie zwolniony, wpadł w szal radości.

- Wiedziałem, że wszystko się wyjaśni - krzyczał. - Byłem pewien, że jak tylko ty się pojawisz, to załatwisz. W żaden sposób nie mogłem się z nimi dogadać...

- Mieli absolutne podstawy, żeby cię zamknąć. Znaleźli przy tobie kokainę. To chyba wystarczający powód.

- Ale któż, u diabła, może przypuścić, że ja handluję kokainą? - zachnął się Marceli. - Przecież to kompletny nonsens.

- Nie tacy „uczciwi” ludzie jak ty robili gorsze rzeczy - powiedział Downar. - Pamiętaj o tym, że w naszej robocie liczą się przede wszystkim fakty. Kto ci uwierzy, że nie znasz tej dziewczyny i że nie umówiłeś się z nią w „Kongresowej”,

żeby przejąć od niej towar?

- A jednak wypuszczacie mnie na wolność.

Downar skinął głową.

- Tak. Na moją interwencję zostaniesz zwolniony, ale pod pewnymi warunkami.

- Jakież to warunki?

- Przede wszystkim nikomu ani słowa o tym, że siedziałeś.

- Miałem dzisiaj być w redakcji. Muszę jakoś usprawiedliwić moją nieobecność. Naczelnym będzie na mnie wściekły, tym bardziej, że nie napisałem artykułu, który miałem napisać.

- Powiesz, żeś się spił i że cały dzień przespałeś u kolegi, na przykład w Milanówku, albo że byłeś u jakiejś dziewczyny. Coś tam sobie przecież wykombinujesz. Twoja żona już została uprzedzona o tym, że musi zachować ścisłą dyskrecję.

- No, dobra. I co poza tym? Jakie jeszcze warunki?

- Poza tym otrzymasz z powrotem paczkę z kokainą...

Marceli nerwowo zamachał rękami.

- Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Dajcie mi spokój.

- Chwileczkę. Nie podniecaj się. Albo zgodzisz się na nasze warunki, albo będziesz siedział w pudle. Co wolisz?

- Szantażujesz mnie? Ty? Przedstawiciel władzy?

- To nie szantaż. To ultimatum. Aut-aut. Zrozum, że chodzi o wykrycie poważnej afery. Nie możemy zlekceważyć żadnej okazji, a być może, że właśnie ty jesteś taką okazją.

- Niech cię diabli - mruknął Marceli. - Więc czego ty w końcu chcesz mnie?

- Posłuchaj - Downar wyjął papierosa i zaczął go ugniatać w palcach. - Weźmiesz kokainę i wrócisz do domu jak gdyby nigdy nic. Paczkę zrobimy dokładnie tak, jak była. Następnie dasz „Życia Warszawy” ogłoszenie takiej treści: „Pani, która w «Kongresowej» dała mi do potrzymania paczkę, proszona jest o skomunikowanie się telefoniczne w celu odebrania swej własności”. Podasz swój numer telefonu i ewentualnie nawet adres.

- Sądzisz, że babka uwierzy, że ja nie zajrzałem do tej paczki?

- Nawet jeżeli przypuszcza, że zajrzałeś, to co? Nie każdy zaraz zorientuje się, że to kokaina. A może tylko większa porcja olejku do opalania? Właściwie po co miałbyś sprawdzać, co to jest? Wydaje mi się, że sprawa wygląda dosyć naturalnie.

- A jeżeli zadzwoni?

- To się z nią umówisz, żeby jej oddać jej własność. Powinieneś się z nią spotkać w jakimś neutralnym miejscu, na przykład w kawiarni. Powiesz jej przez telefon parę komplementów. No, już wiesz. Nie muszę cię uczyć. A resztę pozostaw nam. Zachowuj się zupełnie normalnie, z nikim nie rozmawiaj na ten temat i swojej żonie zapowiedz, żeby się nie wyrwała z czymś niepotrzebnym. Jeżeli to inteligentnie rozegrasz, możesz nam ogromnie pomóc. Nie zapominaj o tym, że i my pomagamy ci nieraz napisać jakiś reportaż.

- No dobrze.

Wtorkowa rozmowa z naczelnym nie należała do najmiłszych.

- No i gdzież to się pan podziewał, panie kolego?

Marceli uśmiechnął się niewyraźnie.

- Zabałaganiałem się trochę, panie redaktorze. Bardzo mi przykro.

- Nam tu jeszcze bardziej było wczoraj przykro. Czekaliśmy na pana i na pański artykuł. Zupełnie tego nie pojmuję. To jest absolutny brak odpowiedzialności. Rozumiem, żeby tak postąpił jakiś szczeniak, ale pan...

- Przepraszam.

- Tu nie ma co przepraszać. Takie rzeczy nie mogą się zdarzać u nas w redakcji. Rozumie pan? I ostrzegam, że jeżeli jeszcze raz...

- To się już nigdy nie powtórzy - zapewnił z zapalem Marceli. - Daję panu moje słowo...

- No dobrze.

Naczelnym wyjął papierosy i powiedział już spokojniej:

- A teraz jest taka sprawa, panie Marceli. Za parę dni zaczynają się międzynarodowe konkursy hipiczne w Olsztynie. Nie bardzo mam kogo posłać. Może by pan pojechał?

- Z przyjemnością. Wprawdzie nie jestem fachowcem w końskiej branży, ale coś tam zawsze napiszę.

- Nie chodzi o fachowe sprawozdanie. Zależy mi na tym, żeby pan zrobił reportaż o charakterze ogólnym, z wydobyciem nastroju, z pokazaniem ludzi, którzy przyjechali na zawody. Może jakiś mały wywiadzik z zagranicznym gościem. Zresztą już pan się sam najlepiej zorientuje. Pokój w hotelu kazałem zarezerwować.

- Dziękuję, panie redaktorze, i jeszcze raz najmocniej przepraszam.

ROZDZIAŁ III

- Telefon do was, towarzyszu kapitanie.

Nowicki, nie przerywając pisania, chwycił słuchawkę.

- Halo?

- Tu mówi Doniecki. Bardzo przykra sprawa...

- Co się stało?

- Włamanie do mojego mieszkania. Ukradli tę paczkę...

- Niech pan na nas zaczeka. Zaraz przyjeżdżamy.

Po kilkunastu minutach Nowicki w towarzystwie porucznika Olszewskiego wysiadał ze służbowej wołgi na rogu Wilczej i Marszałkowskiej.

Zastali Marcelego w stanie najwyższego podniecenia. Zapalał jednego papierosa po drugim, gasząc go natychmiast. W pierwszej chwili trudno było coś zrozumieć z jego urywanych słów.

- Może pan usiądzie i spróbuje się trochę uspokoić - zaproponował Nowicki. - A my obejrzymy sobie, jak to się stało. Zadzwońcie, kolego, po fachowców - zwrócił się do Olszewskiego.

Obejrzeliby ślady włamania i spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Nowicki przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Marcelego.

- A teraz może nam pan opowie, jak to się wszystko odbyło. Kiedy pan

zauważył, że ktoś się włamał do mieszkania?

- Jak wróciłem ze spaceru.
- Gdzie pan chodził na spacer?
- Do Łazienek.
- Sam.
- Tak.
- I długo pan tak spacerował?
- Trudno mi dokładnie określić. Mniej więcej około dwóch godzin.
- A gdzie jest obecnie pańska żona?
- W szpitalu. Ma dyżur.
- Hm. I jak pan wrócił ze spaceru, to co pan zauważył?
- Że drzwi są otwarte.
- A czy pan na pewno zamknął drzwi wychodząc?
- Oczywiście. Zresztą gdybym zapomniał zamknąć drzwi, to nie potrzebowaliby się włamywać.
- I twierdzi pan, że zginęła tylko ta paczka?
- Tak.
- Garderoba, bielizna, wszystko w porządku? Nic nie ukradli?
- Nic.
- Na to ogłoszenie nie było żadnej reakcji?
- Nie.
- Nikt nie telefonował?
- Nie. Przecież byłbym was zawiadomił. Nie wierzy mi pan?
- Miałbym ochotę porozumieć się z Downarem - mruknął jakby do siebie Nowicki i podszedł do telefonu.

Downar przyjechał razem z brygadą śledczo-dochodzeniową. Przywitał się pośpiesznie z Marcelim i spojrzał na Nowickiego.

- No i co?
- To, co widzisz. Z mieszkania zniknęła tylko ta paczka. Chodź. Chciałbym z tobą zamienić parę słów na osobności.

Przeszli do drugiego pokoju.

- Nie mam pojęcia, co robić - szepnął Nowicki.
 - Bo co?
 - Bo całe to włamanie to absolutna symulacja.
- Downar spojrzał uważniej na przyjaciela.
- Tak sądzisz?
 - Nie sądzę, tylko mam pewność. Znam się chyba trochę na tym. Symulacja, i to zrobiona na chama. W tej sytuacji chyba będziemy musieli zamknąć tego twojego protegowanego. Nie widzę innej rady.

Downar położył mu rękę na ramieniu.

- Zaczekaj. Nie gorączkuj się. Na to zawsze będziemy mieli czas.
- Nie widzisz, że facet robi z nas wariatów? - zdenerwował się Nowicki.
- Czekaj, czekaj. Musimy się zastanowić.
- Co tu się zastanawiać?
- Zawsze lepiej nie zrobić głupstwa, jak zrobić. Jeszcze nie będziemy go aresztować. A ty nie daj poznać po sobie, że podejrzewasz symulację.

- Nie bardzo cię rozumiem.
- Później pogadamy sobie spokojnie na ten temat.
- Czy wiesz, że facet ma jechać do Olsztyna na międzynarodowe zawody konne?
- Wiem.
- I puścimy go tam?
- Oczywiście. To międzynarodowe towarzystwo może być dla nas interesujące. Nie sądzisz?
- Masz na myśli jakieś jego kontakty?
- Ewentualnie. Chociaż ja ciągle jeszcze wierzę w niewinność Marcelego.
- Jesteś niepoprawnym optymistą.
- Być może. To się okaże. No, chodzimy rzucić okiem, jak tam zdejmują odciski palców. Liczę trochę na ten materiał daktyloskopijny.
- A ja nie robię sobie specjalnych złudzeń - skrzywił się Nowicki.

*

Zrobili, co do nich należało, i pojechali. Nowicki i Olszewski także. Został tylko Downar. Chciał spokojnie, w cztery oczy porozmawiać z Marcelim.

- No, na co czekasz? - wybuchnął nagle Marcelli. - Zakuwaj mnie w kajdany i zamykaj do kryminału.

- Co ci się stało?

- A cóż ty myślisz, że ja jestem takim idiotą? Doskonale zauważyłem te porozumiewawcze spojrzenia. Jesteście wszyscy przekonani, że rąbnąłem tę kokainę i symulowałem włamanie. Przecież to jasne.

- Dla mnie to nie jest zupełnie jasne - powiedział spokojnie Downar.

- Tak mówisz, bo nie chcesz mi zrobić przykrości.

Downar uśmiechnął się.

- Daj spokój. W takiej sytuacji nie bawiłbym się w uprzejmości. Wiesz, co ja myślę o całej tej historii z włamaniem?

- Bardzo jestem ciekaw.

- Otóż sądzę, że ci ludzie chcieli przy jednym ogniu upiec przysłowiowe dwie pieczenie, odzyskać kokainę i rzucić podejrzenie na ciebie.

- Jak to na mnie? Nie bardzo rozumiem.

-: To proste. Pozostawili po sobie takie ślady, żeby nawet początkujący oficer dochodzeniowy miał pewność, że to symulacja. Najprawdopodobniej zależy im na tym, żeby skierować śledztwo na fałszywy ślad i żeby w ten sposób zyskać na czasie. Chyba mają większy transport kokainy i chcą go spokojnie gdzieś przerzucić.

- Myślisz, że mnie obrali sobie za ofiarę?

- Właśnie tak myślę. Nie miałeś żadnego telefonu w sprawie tego ogłoszenia?

- Nie.

- Spryciarze. Bali się podstępu.. Woleli zaryzykować włamanie. Przyznaję się ze skruchą, że takiej ewentualności nie przewidziałem. Byłem pewien, że jednak nawiążą kontakt telefoniczny. Przechytrzyli nas.

- Co teraz proponujesz?

Downar wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem. Nic. Zobaczymy, jak się będzie to wszystko w dalszym ciągu rozwijać. Podobno wybierasz się do Olsztyna?

- Tak. Redakcja wysłała mnie na zawody konne. Pojadę, jeżeli oczywiście mnie nie zamkniesz.

- Na razie nie.

- Więc jednak istnieje taka możliwość?

- Mój drogi, nie ma na świecie rzeczy niemożliwych. Wszystko się może zdarzyć. Ale wiesz, co ci chcę powiedzieć? Chcę ci powiedzieć, że powinieneś na siebie teraz uważać.

- Sądziś, że może mi grozić jakieś niebezpieczeństwo?

- To nie jest wykluczone.

Marceli niespokojnie spojrział na przyjaciela.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Cóż mi może grozić?

- Widzisz... handlarze narkotykami to są ludzie, którzy nie przebierają w środkach. -Downar usiadł na tapczanie i zapalił papierosa. - Nie przebierają w środkach i jeżeli na przykład uważaliby za wygodne dla siebie, żeby ciebie kropnąć, to na pewno by się nie zawahali.

- Ależ na miłość boską, dlaczegoż miałoby mnie kropnąć?

- A chociażby dla tej samej przyczyny, dla której ucharakteryzowali to włamanie na symulację. Jeżeli chcą nas skierować na fałszywy trop, to może im przyjść do głowy taki pomysł, żeby ciebie zabić i zrobić z tego morderstwa zbrodnię na tle porachunków między handlarzami narkotyków. To by nam nieźle zagmatwało sprawę.

Marceli przybladł.

- Miła perspektywa - powiedział cicho.

- Nie mówię tego wszystkiego po to, żeby cię nastraszyć - ciągnął dalej Downar. - Chcę po prostu, żebyś sobie w pełni zdawał sprawę z sytuacji. Oczywiście to są już bardzo daleko posunięte domysły. Czy wiesz, nad czym się ciągle zastanawiam? Nad tym mianowicie, dlaczego ta dziewczyna akurat tobie dała tę paczkę? Czy ty bilet wtedy kupowałeś w kasie?

- Nie. U konika.

- Poznałbyś go?

- Bo ja wiem. Może bym go i poznał. Taki szczupły blondyn. Co ci przychodzi do głowy?

Downar wstał i przeszedł się po pokoju.

- Wcale nie jest wykluczone, że ten bilet był przeznaczony dla kogo innego, że weszło tu w grę jakieś nieporozumienie. Gdybyś mógł odnaleźć tego „konika”...

- Spróbuję - powiedział Marceli. - Pokręcę się pod kinami. Może akurat mi się uda.

- Damy ci do pomocy dwóch wywiadowców. Dobrze by też było, żebyś sobie przejrzał nasze albumy. Może tam byś znalazł podobiznę tego młodziana.

- Na razie muszę jechać do Olsztyna.

*

Joanna nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. W zasadzie nie wierzyła w winę Marcelego, ale dowody były tak wyraźne, a poza tym...

Znała przecież Marcelęgo bardzo dobrze i wiedziała, do czego jest zdolny. Nie brał życia zbyt poważnie. Był lekkomyślny. Do ludzi odnosił się często z bezkrytycznym entuzjazmem. Ileż to razy słyszała same superlatywy pod adresem jakiegoś nowo poznanego jegomościa, który po pewnym czasie okazywał się zwykłym łobuzem, naciągaczem, oszustem. Ale te przykre doświadczenia niczego nie uczyły Marcelęgo. Zawsze pozostawał niepoprawnym optymistą, dawał się oczarowywać, ulegał wpływom. Był trochę romantykiem, trochę fantastą. Mógł więc wpaść w takie towarzystwo, które...

Przez parę godzin robiła porządki. Włamywacze przewrócili całe mieszkanie do góry nogami, a fachowcy od daktyloskopii pozostawili na meblach ślady białego proszku. Trzeba się było porządnie napracować, żeby doprowadzić to wszystko do jakiegoś takiego wyglądu.

Marceli, cichy i zamyślony, pomagał żonie. Posłusznie manipulował odkurzaczem, przynosił ścierki, szczotki i śmietniczki. Już dawno nie był taki potulny i uległy.

- Żebyś beze mnie nie laził po kinach, to nie byłoby tego całego kramu - powiedziała Joanna, wyrzucając z odkurzacza śmiecie do wiaderka. - Przecież ci mówiłam, że chcę zobaczyć ten film. Mogłeś popracować, a nie lecieć do „Kongresowej”.

- Tłumaczyłem ci, kochanie, że było strasznie gorąco - jęknął Marceli.

- To co z tego, że gorąco? Czy sądzisz, że w krajach tropikalnych ludzie nie robią nic innego, tylko siedzą w chłodnym kinie? W Indiach czy w Brazylii także pracują.

- Ale ja nie jestem Brazylijczykiem.

- Natomiast na pewno jesteś ohydny kobieciarzem.

- Na miłość boską. Czego ty, kochanie, chcesz ode mnie?

Joanna zaczynała się „rozkręcać”.

- Może mi powiesz, że ta dziewczyna w kinie nie była ładna.

- Była ładna. I co z tego?

- To z tego, że na pewno na nią spojrzaleś.

- Dajże spokój - zachnął się Marceli. - Gdyby każda dziewczyna, na którą spojrzę, wtryniała mi paczkę z kokainą, to do tej pory miałbym już hurtownię narkotyków.

- A nie mówiłam, że jesteś dziwkarz! - wykrzyknęła Joanna.

Marceli westchnął. Zrozumiał, że zanosí się na dłuższy dialog. Nie czuł się na siłach, żeby sprostać temu zadaniu.

- Pójdę się trochę przejść - powiedział.

Spojrzała na niego z oburzeniem.

- No, naturalnie. Ja się tu zamęczam sprzątaníem po tym twoim idiotycznym włamaníu, a ty na spacerek...

- Przecież już sprzątnęliśmy. Wydaje mi się, że ci pomogłem.

- Oj, ta twoja pomoc. Ale idź, idź. Nie denerwuj mnie.

Nic nie powiedział. Umył się i cicho wyszedł z mieszkania.

Wieczór był upalny. Zachód słońca nie przynióśł ochłodzenia. Nagrzane mury buchały gorącem. Gęste, wypełnione kurzem powietrze zamulało płuca.

Marceli włókł się Alejami w kierunku Belwederu. Był w bardzo podłym

nastroju. Czuł, że to jeszcze nie koniec jego utrapień, że w każdej chwili może się pojawić nowa komplikacja. Przypomniały mu się słowa Downara, że może mu grozić niebezpieczeństwo. Mimo woli rozejrzał się wokoło podejrzliwie. Właściwie każdy przechodzień mógł być mordercą. Głupie uczucie. Czy Stefan trochę nie przesadza z tym niebezpieczeństwem? To bardzo miły chłop, ale ciągle siedzi w tych kryminalnych sprawach, wszędzie węszy zbrodnię, niebezpieczeństwo... A może by kieliszek zimnej wódki? Takiej z lodu, żeby mgiełka osiadała na kieliszku. Myśl ta wydała się Marcelemu genialna. Nawet już nie miał żalu do Joanny. Ostatecznie mogła być zdenerwowana tym wszystkim. Trudno było się dziwić, że chciała się na kimś wyładować. A przecież każda kobieta najlepiej może się wyładować na własnym mężu. Kochana Joasia. Musi jej koniecznie w najbliższej przyszłości kupić jakiś mały prezencik. Jak tylko wpadnie mu trochę forsy.

Zawrócił i żwawym krokiem ruszył w kierunku „Spatifu”.

Muszę się trochę odprężyć - tłumaczył się sam przed sobą. - To są jednak niecodzienne przeżycia.

W „Spatifie” było gwarno. Upał nie zrażał tutejszych bywalców do spożywania alkoholu. Butelki z „Eksportową” krążyły.

Marceli rozglądał się trochę bezradnie po zatłoczonej sali. Czuł się zawiedziony. Nie było wolnego stolika.

Nagle spostrzegł, że ktoś do niego energicznie macha. Od razu odzyskał dobry humor. Przecisnął się zręcznie między stolikami i uściśnął dłoń Henia Łuczyńskiego, który siedział w towarzystwie dwóch, mocno już podpitych, mężczyzn.

- Kopę lat - ucieszył się Henio. - Gdzież ty się podziewasz? Nigdzie cię ostatnio nie widuję. Siadaj, siadaj. Poznajcie się.

Towarzysze Henia wymamrotali swoje nazwiska i pograżyli się w melancholijnej zadumie. Najwidoczniej obaj upijali się „na smutno”. Henio natomiast był niezwykle rozmowny. Zasypywał Marcelęgo pytaniami i nie czekając na odpowiedź, opowiadał niezwykle historie o rozmaitych ludziach, których Marceli nigdy w życiu nie widział.

W pewnej chwili do ich stolika zbliżył się szatniarz i powiedział:

- Pan Doniecki proszony jest do telefonu.

Marceli poderwał się. Był zaskoczony. Kto to mógł dzwonić? Przecież nikomu nie powiedział o tym, że ma zamiar pójść do „Spatifu”. Bardzo rzadko tu bywał.

W słuchawce posłyszał kobiecy głos:

- Radzę panu oddać kokainę. To był bardzo głupi kawał z tym talkiem. Jeżeli nie załatwi pan tego w ciągu dwóch dni, nie ręczę za pańskie życie. Jutro zadzwonię do pana.

- Kto mówi?

Roześmiała się.

- Proszę przygotować towar i czekać na wiadomość. Zostanie pan dokładnie poinformowany o tym, gdzie i kiedy odniesie pan tę paczkę, którą przez pomyłkę otrzymał pan w kinie. Do widzenia i żadnych kawałów.

Marceli nie wrócił już do Henia Łuczyńskiego. Stracił ochotę na wódkę i w ogóle na wszystko. Odechciało mu się żyć. Nie widział wyjścia z tej szatańskiej

afery, w którą się wplątał. Zaczynał żałować, że nie siedzi sobie spokojnie w więzieniu. Tam przynajmniej byłby bezpieczny.

Idąc wolno Wilczą, rozmyślał o tej rozmowie telefonicznej. Nic ulegało wątpliwości, że go śledzą. Chcą odzyskać kokainę, której on nie ma. Mógł się przecież domyślić, że milicja nie zwróci mu prawdziwej kokainy.

Joanna już była spokojniejsza. Schowała przyrządy do sprzątanania i przygotowała kolację. Z jej zachowania widać było, że chce załagodzić konflikt małżeński.

- Bałam się, że powleciesz się gdzieś na wódkę - powiedziała żartobliwie.
- Byłem w „Spatifie” - mruknął - ale nie wypilem ani kieliszka.
- I wróciłeś tak cnotliwie do domu? Co się stało? Źle się czujesz?

Marceli uważnie przyjrzał się Joannie.

- Co mi się tak przyglądasz?
- Zastanawiam się nad tym, czy ci będzie do twarzy w żałobie.

ROZDZIAŁ IV

Tajemnicza nieznajoma nie dała znaku życia. Marceli przez cały następny dzień, przesiedział w domu, czekając na jej telefon. Nie doczekał się.

Downar, poinformowany o rozmowie telefonicznej w „Spatifie”, ustosunkował się sceptycznie do tej sprawy.

- Jak chcesz, możesz czekać - powiedział - ale gwarantuję ci, że babka się nie odezwie.

- To po co do mnie dzwoniła?

- Żeby sprawdzić twoją reakcję i żeby utrzymać cię w stanie podniecenia nerwowego. Zresztą może miała jeszcze co innego na celu. Trudno zgadnąć.

- Co proponujesz?

- Nic. Jedź spokojnie do Olsztyna, popatrz sobie na koniki i napisz jakiś szalony reportaż.

I Marceli pojechał do Olsztyna.

W pociągu zdobył dobre miejsce, przy oknie. Patrząc na słoneczny krajobraz, usiłował się uspokoić i nie myśleć o kokainowej aferze. Nie było to rzeczą łatwą.

Nieposłuszna

wyobraźnia nieustannie podsuwała przykre obrazy z niedawnej przeszłości. Aresztowanie, cela, przesłuchanie, rozmowy z Downarem i z Joanną, wreszcie to cholerne włamanie.

Trudno się było opędzić tym obsesyjnym wizjom. A może znowu go śledzą? Niepokojnym spojrzeniem obrzucił towarzyszy podróży. Kobieta z małym chłopczykiem, młode małżeństwo, ksiądz, pomarszczona staruszka. Nie, stanowczo nikt z tych ludzi nie wyglądał na niebezpiecznego gangstera, handlarza narkotyków. Chyba żeby ksiądz był przebrany.

Marceli roześmiał się tak głośno, że podróżni spojrzeli na niego z niepokojem. Zestawienie dobroduszej, rumianej twarzy prowincjonalnego proboszcza z wizerunkiem międzynarodowego aferzysty było tak zabawne, że nie mógł opanować wybuchu wesołości.

- Cóż pana tak rozśmieszyło? - spytał z uśmiechem ksiądz. Głos miał

wysoki, dziwnie infantylny.

- Miewam czasem pomysły, z których sam się śmieję - wyjaśnił Marceli. - Ale na ogół jestem normalny.

Książd roześmiał się i wygładził na kolanach zniszczoną sutannę.

- Śmiech nie zawsze oznacza nienormalność - powiedział - chociaż czasami... - urwał nagle, jakby speszony. Po chwili wyjął z kieszeni brewiarz i pograżył się w pobożnej lekturze.

Marceli był zadowolony. Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w pseudo-filozoficzne rozmowy z księdzem dobrodziejem.

Podróż upłynęła, bez większych wrażeń. Rytmiczne kołysanie wagonu, przesuwany się za oknem krajobraz - wszystko to działało kojąco. Z każdym kilometrem tamte, warszawskie sprawy wydawały się coraz mniej realne, nieprawdziwe, jakby wyjęte z sensacyjnej powieści.

W Olsztynie Marceli wprost z pociągu poszedł do hotelu.

Portier dostojnym ruchem otworzył książkę rezerwacji pokoi. W pesymistycznym grymasie opuścił kąciki ust ku dołowi i pokiwał głową, jakby się użalając nad losem przybyłego turysty.

- Tak, zarezerwowaliśmy dla pana miejsce, ale niestety nie mamy już pojedynczych pokoi. Będzie pan musiał zamieszkać z jeszcze jednym panem.

Marceli nie znosił wspólnych pokoi hotelowych. Perspektywa mieszkania razem z jakimś nieznanym facetem była dla niego czymś obrzydliwym. Rozumiał jednak, że przy takim zjeździe nie można mieć zbyt wygórowanych wymagań.

- To bardzo kulturalny gość - powiedział portier, pragnąc nieco zneutralizować przykrą wiadomość. - Staralem się, żeby pan redaktor miał odpowiednie towarzystwo.

„Kulturalny gość” okazał się rzeczywiście sympatycznym, czterdziestoparoletnim mężczyzną. Nazywał się Godziszewski i był fotoreporterem. Wyjaśnił, że przyjechał robić zdjęcia z zawodów.

Nawiązała się miła, bezpośrednia rozmowa, podczas której Marceli dowiedział się wielu szczegółów z życia bliższej i dalszej rodziny fotoreportera. Godziszewski należał do typu ludzi, którzy są przekonani, iż absolutnie każdego interesują postępy w nauce jego starszego syna czy też sprawa rozwodowa brata żony. Opowiadał zresztą to wszystko z takim przejęciem i tak żywo, że nawet niezbyt nudził, słuchacza.

Potem mówili o koniach i o mających się rozpocząć nazajutrz zawodach.

- Ja osobiście jestem przekonany, że wygrają Anglicy - perorował z przejęciem fotoreporter. - Nie ma pan pojęcia, jak ta babka jeździ. A jak mają zrobione konie. Coś fantastycznego.

Wreszcie Marceli miał dosyć tej pogawędki. Czuł, że z wolna opuszczają go siły. Jego współlokator był bardzo sympatyczny, ale jednak za dużo mówił. Poza tym w pokoju było duszno.

Właściwie należało pójść na obiad. Nie był jednak specjalnie głodny. Zjadł więc kanapki, które mu na drogę przyszykowała Joanna, i wyszedł z hotelu.

Na ulicach widać było niecodzienny ruch. Eleganckie samochody z zagraniczną numeracją, wozy korpusu dyplomatycznego, kronika filmowa,

telewizja. Słyszeć było rozmowy prowadzone w obcych językach. Cudzoziemki prezentowały swoje toalety. Cały ten tłum szykował się na jutrzejsze otwarcie międzynarodowych konkursów hipicznych.

Marceli bardzo dawno nie był w Olsztynie. Krążył więc po mieście i oglądał wszystko z zainteresowaniem. Podobało mu się tu.

Wreszcie zrezygnował z zatłoczonych ulic i zszedł w dół ku jezioru.

Od razu otoczyła go cisza i zapach wody. Po upalnym dniu przyjemnie było zanurzyć się w wilgotnym chłodziu.

Usiadł na zwałonym drzewie i patrzył. Siedział tak długo, aż zapadł wieczór i tafla jeziora pociemniała. Cienie zlatujących na noc kaczek kołysały się nad szuwarami. W oddali majaczył czarny kształt łodzi płynącej do przystani.

Trzeba było wracać. Marceli raz jeszcze wciągnął głęboko w płuca chłodne, pachnące -trzcina powietrze i wstał. Z niechęcią myślał o dusznym pokoju hotelowym. Miał nadzieję, że jego towarzysz już śpi i nie będzie go zabawiał rozmową.

Z jakiegoś otwartego okna wydobywały się smakowite zapachy. Poczul głód. Wstąpił więc do restauracji, gdzie z pewnym trudem udało mu się jeszcze dostać porcję kielbasy z kapustą i szklankę herbaty.

W hallu hotelowym panował nastrojowy półmrok.

- Ten pan już jest na górze - oznajmił portier. - Powiedział, że chce się wcześniej położyć. Zmęczony po podróży.

Marceli nie zapalał światła, żeby nie budzić swojego współlokatora. Ostrożnie zamknął drzwi i skradającym się krokiem szedł do swego łóżka. Nagle potknął się o walizkę i o mało nie upadł. Hałas był dosyć duży. Niespokojnie spojrzał w kierunku fotoreportera.

Najwidoczniej spał bardzo mocno, bo nawet się nie poruszył. Leżał w pidżamie, z rozrzuconymi nogami. Głowa zwisała poza łóżko. Nie był przykryty. Kółdra spadła na podłogę.

Trzeba go przykryć, bo w nocy może się zrobić chłodno - pomyślał Marceli. Podeszedł bliżej i schylił się. Chciał podnieść kółdrę i wtedy poczuł, że dotyka czegoś lepkiego. Rzucił się w tył i zapalił światło. Przy łóżku Godziszewskiego zobaczył kałużę krwi.

Szok był tak gwałtowny, że przez dłuższą chwilę Marceli stał bez ruchu, wpatrując się jak zahipnotyzowany w leżące przed nim ciało. Nie mógł uwierzyć. Wydawało mu się, że to makabryczny sen, z którego się zaraz obudzi. Niekontrolowanym ruchem pocierał dłonią czoło. Wreszcie skoczył do drzwi i zbiegł na dół.

Musiał być bardzo blady, bo portier spojrzał na niego niespokojnie.

- Co się stało?

- Niech pan dzwoni po milicję. Prędko! Niech pan dzwoni po milicję!

*

Przyjechali.

Porucznik z wojewódzkiej komendy był młodym, energicznym człowiekiem. Używał mało słów i lubił posługiwać się urzędową terminologią. Zadał kilka krótkich, rzeczowych pytań i powiedział zwracając się do sierżanta:

- Zostańcie z podejrzanym. Ja skoczę na górę zobaczyć, jak tam

przeprowadzają czynności.

Dopiero po dłuższym czasie doszło do świadomości Marcelego, że to on właśnie jest tym „podejrzany”. Sierżant, tęgi, łysiejący blondyn, poprawiał co chwilę na wydatnym brzuchu pas i z wyraźnym obrzydzeniem spoglądał na swego podopiecznego, jakby chciał powiedzieć: „I potrzebne ci to było, idioto?”

Tego jeszcze brakowało, żebym został oskarżony o to morderstwo - myślał przygnębiony Marceli. - Co za cholerny pech! Znowu mnie zamkną.

Palił papierosy i siedział w ponurej zadumie, czekając na dalszy rozwój wypadków. Portier i sierżant obserwowali go z zainteresowaniem.

Nagle drzwi się otworzyły z hałasem i do hallu wszedł kapitan Nowicki. Szybkiem spojrzeniem obrzucił obecnych i skierował się ku schodom.

Marceli, ujrawszy znajomą twarz, poderwał się uradowany.

- Jakże się cieszę, że pana widzę, panie kapitanie. Taka nieprzyjemna... - urwał napotkawszy zimny wzrok kapitałna.

- Proszę tu na mnie zaczekać. Porozmawiamy później - powiedział Nowicki i poszedł na górę.

Czas włókł się nieprawdopodobnie. Wskazówki zegara posuwały się w żółwym tempie. Marceli wypalił wszystkie papierosy i nie wiedział, co ze sobą począć. Próbował nawiązać rozmowę z sierżantem, ale za każdym razem napotykał taką niechęć, że w końcu dał za wygraną i pogрузzył się w absolutnym milczeniu. Czuł, że najbliższa przyszłość nie zapowiada mu się zbyt wesoło.

Wreszcie na schodach pojawił się Nowicki w towarzystwie porucznika, który niósł w prawym ręku walizkę.

- Czy to pańska walizka? - spytał Nowicki.

Marceli skinął głową.

- Tak, moja.

- Czy pan zawsze walizkę zamyka na klucz?

- Nie. Nigdy tego nie robię, ale zamek mi się popsuł i odskakuje. Dlatego...

- Może pan otworzy.

Marceli nerwowo zaczął przeszukiwać kieszenie. Nie od razu znalazł kluczyk.

- O, jest! - wykrzyknął wreszcie i otworzył walizkę.

Nowicki pochylił się i zaczął uważnie przerzucać bieliznę, pidżamy, przybory do golenia. Spod grubego ręcznika wyjął paczkę owiniętą w szary papier.

- Co to jest?

Marceli spojrzał zdziwiony.

Nie mam pojęcia. Ja tego nie pakowałem. Chyba żeby żona...

- Proszę, niech pan rozwinie tę paczkę.

Marceli spełnił rozkaz. Z szarego papieru wypadły plastikowe torebeczki wypełnione białym proszkiem.

- No, to chyba pojedziemy teraz do komendy - powiedział Nowicki.

I znowu przesłuchanie.

Nie kończące się pytania: „Gdzie?” „Dlaczego?” „Kiedy?” „O której godzinie?”

- Znał pan zamordowanego?

- Nie. Zobaczyłem go w pokoju hotelowym po raz pierwszy w życiu.

- To dlaczego pan go zamordował?

- Ja go nie zamordowałem.

- Czym go pan uderzył?
- Ja go nie uderzyłem.
- Jak dawno znał pan denata?
- Wcale go nie znałem.
- Jakie miał pan powody, żeby go zamordować?
- Ja go nie zamordowałem...
- Komu miał pan przekazać kokainę?
- Nic nie wiem o kokainie.
- W pańskiej walizce znaleźliśmy kokainę.
- Nie wiem, skąd się tam wzięła.
- Walizka była zamknięta na klucz.
- Tak.
- Od kogo pan dostał kokainę?
- Od nikogo nie dostałem kokainy.

I tak w kółko. Marceli czuł, że lada chwila oszaleje i zacznie wyć. Oficerowie byli niestrudzeni.

Nowicki zapalił nowego papierosa i tak długo nie odkładał płonącej zapalki, aż sparzyła mu palce.

- Niech pan nam powie, co pan robił po południu i wieczorem.
- Już mówiłem. Chodziłem po mieście, siedziałem nad jeziorem.
- Sam?
- Tak, sam.
- Kogo pan spotkał podczas tego samotnego spaceru?
- Nikogo. To znaczy nikogo znajomego. Niepotrzebnie pan się trudzi, panie kapitanie.

Ja Mnie mam żadnego alibi, absolutnie żadnego. Nikogo nie spotkałem, z nikim nie rozmawiałem, nikt mnie nie widział.

- Ale z denatem pan rozmawiał?
- Oczywiście.
- O czym pan z nim rozmawiał?
- O różnych rzeczach. Opowiadał mi o swojej rodzinie, o swoich kolegach. Mówiliśmy o koniach. Dokładnie już nie pamiętam.

- A o kokainie?
- Nie. Nie rozmawialiśmy o kokainie.
- To dlaczego pan go zamordował?
- Rany boskie! Nie odprowadzajcie mnie do szau. Ja go nie zamordowałem.

- A kto?
- Nie wiem.
- Jak pan myśli, kto mógł zamordować tego człowieka?
- Nie wiem.
- Portier twierdzi, że nie widział, żeby ktoś obcy wchodził do hotelu. Więc kto mógł się dopuścić tej zbrodni?
- Nie wiem. Może któryś z gości hotelowych.
- Trudno się z panem porozumieć, panie redaktorze.
- Z panem też niełatwo.

*

Na drugi dzień przyjechał do Olsztyna Downar.

Nowicki triumfował.

- A co, nie mówiłem? Ten twój dziennikarz od razu wydał mi się bardzo podejrzany. Zobacz, jak narozrabiał.

- Nie do wiary, zupełnie nie do wiary - powtarzał Downar. - I mówisz, że u niego w walizce...

- Pięć takich plastikowych poduszek z kokainą. Walizka była zamknięta na klucz. Sam ją otworzył.

- A co z tym morderstwem? Kim był denat?

- Fotoreporter z Gdańska. Przyjechał na zawody.

- Trzeba, żeby komenda w Gdańsku sprawdziła tego człowieka.

- Już się z nimi porozumiałem. Jutro, najdalej pojutrze będziemy mieli raport.

- A Marceli nie ma żadnego alibi?

- Absolutnie żadnego. Twierdzi, że spacerował samotnie po mieście i że siedział nad jeziorem.

- Nie był na obiedzie ani na kolacji?

- Był na kolacji, ale żaden kelner nie przypomina go sobie. Jadł kielbasę z kapustą, a że w tym lokalu wszyscy jedli wyłącznie kielbasę z kapustą, bo nic innego nie było, więc...

- Rozumiem - Downar w zamyśleniu pokiwał głową. - Pytał o mnie?

- Tak. Chciałby się z tobą zobaczyć, ale myślę, że tym razem facet już nie uniknie pudła.

- Na pewno nie. Powiedz mi jeszcze, w jaki sposób dokonano tego morderstwa.

- Uderzenie czymś ciężkim w głowę.

- W tył głowy?

- Nie. Wgnieciona kość ciemieniowa.

- Z góry go walnął.

- Na to wygląda.

- Wysoki był ten facet?

- Średniego wzrostu. Około metr siedemdziesiąt. Chyba nie wyższy.

- Marceli także nie taki olbrzym - zauważył Dowmar.

- Mógł go uderzyć, jak tamten siedział na łóżku.

- Słusznie. Znaleziono narzędzie zbrodni?

- Nie. Nic takiego nie znaleziono.

- W jakiej pozycji leżało ciało?

- Na wznak, na łóżku. Głowa zwisała poza łóżko. Krew spływała uszami i nosem.

- Bardzo silne uderzenie - mruknął Downar. - To trochę dziwne. Jak sądzisz, czym go zaprawił?

Nowicki wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Właściwie trudno powiedzieć. Lekarz też nic pewnego nie wie. Tak wygląda, jakby piąchą mu dosunął.

Downar roześmiał się.

- Nie sądzisz chyba, żeby Marceli uderzeniem pięści zabił człowieka? Na to trzeba atlety ciężkiej wagi.

Nowicki skrzywił się z powątpiewaniem.

- Czasami wystarczy niewielkie uderzenie.

- Masz rację. Muszą te szczegóły sprawdzić w zakładzie medycyny sądowej.

Co Znalezione przy denacie?

- Nic specjalnego. Trochę drobiazgów, bieliznę, osobiste rzeczy.

Downar wstał i przeszedł się po pokoju. W zamyśleniu gładził się po świeżo ogolonych policzkach.

- To dziwne, to wszystko jest bardzo dziwne. Musimy go oczywiście zatrzymać, ale mimo wszystko nie wierzę, żeby Marceli...: Kiedy nastąpił zgon tego człowieka?

- Według opinii lekarza wczoraj około dwudziestej.

- A Marceli wrócił do hotelu o dwudziestej drugiej. Tak przynajmniej zeznał portier. Chciałbym, zamienić kilka słów z tym portierem.

- Absolutnie nic nie stoi na przeszkodzie. Możesz z nim rozmawiać, ile ci się żywnie podoba.

*

Portier z miną męczennika przyjął wizytę milicjantów.

- Wszystko już powiedziałem, proszę panów, absolutnie wszystko. Nic więcej nie mam do dodania.

Downar wyjął papierosy i spytał:

- Czy pan wczoraj przez cały dzień był w recepcji?

- Tak.

- I pan przyjmował pana Godziszewskiego i pana Donieckiego?

- Tak.

- Czy przedtem znał pan może któregoś z nich?

- Nie. Zobaczyłem ich po raz pierwszy.

- Czy pan widział, jak pan Doniecki wychodził na miasto?

- Nie, nie zauważyłem.

- Jak to się stało, że pan nie zauważył?

- Musiałem być czymś zajęty, a może wyszedłem na chwilę.

- Ale pan widział, jak pan Doniecki wracał wieczorem?

- Widziałem. Rozmawiałem z nim.

- Czy pan uważa, że to jest możliwe, żeby pan Doniecki wrócił do hotelu około ósmej, żeby potem znowu wyszedł i żeby pan tego nie zauważył?

- To jest mało prawdopodobne, panie majorze, ale możliwe oczywiście jest. Jeżeli panu Donieckiemu zależałoby na tym, to zawsze mógł wybrać sobie taki moment, żebym go nie zauważył. Ja przecież także muszę czasem wyjść z recepcji na chwilę.

- A czy nikt nie pytał wczoraj o pana Donieckiego?

- Nie, nikt.

- A czy telefonicznie także nikt nie zapytywał o pana Donieckiego?

Twarz portiera rozjaśniła się.

- Tak, rzeczywiście, był telefon do pana Donieckiego.

- Kto dzwonił?

- Jakaś kobieta. Nie powiedziała nazwiska.
- Kiedy to było? O której godzinie?
- To było jakoś zaraz po przyjeździe pana Donieckiego. Jeszcze był na górze w pokoju.
- Rozmawiał z nią?
- Nie. Chciałem go poprosić do telefonu, ale powiedziała, że nie trzeba, i odłożyła słuchawkę. Jakaś dziwna babka.
- Jaki miała głos?
- Taki zwyczajny, jak kobieta.
- Poznałby pan ten głos?
- Bardzo wątpię, panie majorze. Nie mam takiej pamięci do głosów. Zresztą z tyloma ludźmi rozmawiam przez telefon i nie przez telefon.
- Nie zauważył pan niczego charakterystycznego w tym głosie?
- Nie wiem. Chyba nie. Głos jak głos. Kobięcy.
- A o pana Godziszewskiego nikt się nie dopytywał?
- Nie.
- I nie zauważył pan, że ktoś obcy kręcił się po hotelu?
- Skądże. Jakbym zauważył, to bym go wyprosił. Nie pozwalam, żeby mi się tutaj jakieś podejrzone typy kręciły. Od tego jestem.

Downar doszedł do wniosku, że przedłużanie tej rozmowy jest bezcelowe. Podziękował portierowi za informację i wrócił do komendy.

Nowicki czekał na niego.

- No i co? Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?
- Niestety niewiele. Podobno jakaś babka dzwoniła do hotelu, żeby się dowiedzieć, czy Marceli przyjechał. Nie chciała jednak z nim rozmawiać.
- To znaczy, że chcieli sprawdzić, czy Doniecki jest już w hotelu.
- Tak. Przez cały czas go śledzili. Powiedz mi, Władziu, czy nic ciekawego nie znaleźliście w tym pokoju hotelowym?

Nowicki wzruszył ramionami.

- Chyba- nic. Właściwie tylko te igły trochę mnie zastanowiły.
- Jakie igły?
- Bo ja wiem. Takie jakieś niewielkie igły. Wyglądają jakby do zastrzyków czy do maszyny do szycia. Nie znam się na tym.

Downar zainteresował się.

- Pokaż. Zobaczymy.
- Trzeba będzie poprosić porucznika. Zdaje się, że zamknął je do kasy pancernej.

Po kilku minutach Nowicki z metalowego pudełeczka wysypywał na kartkę papieru krótkie, bardzo cienkie igły. Downar przyjrzał im się uważnie.

- Czy wiesz, do czego służą te igły?
- Przecież ci powiedziałem, że nie wiem i nikt w tutejszej komendzie nie wie. Pytałem.
- To są igły używane do tatuazu.
- Do tatuazu?
- Tak. Zakłada się je do maszynek elektrycznych, które automatycznie wtryskują tusz do igły. Igła ma, jak widzisz, otwór, tak jak igły do zastrzyków.

Gdzie żeście to znaleźli?

- Na podłodze. Koło walizki Donieckiego. To pudełeczko było zawinięte w papierową serwetkę.

- Ciekawe - mruknął Downar. - Kto, u diabła, mógł zgubić te igły. To zagraniczny towar. U nas tego się nie produkuje. Pokaż pudełeczko. O, widzisz? Firma angielska. Te rzeczy marynarze przywożą ze Szwecji albo z Anglii. Maszynki do tatuazu kosztują sporo dolarów. Posiadają je nieliczni fachowcy. U nas tatuaz wykonuje się w sposób o wiele bardziej prymitywny, nakłuwając skórę zwykłą igłą do szycia.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zdziwił się Nowicki.

- Prowadziłem kilka spraw na Wybrzeżu i kręciłem się między marynarzami. Znałem jednego, który tak był pokryty tatuazem, że trudno było znaleźć na nim kawałek czystej skóry.

- Niezrozumiała jest dla mnie ta mania.

Downar uśmiechnął się.

- Ja także tego nie rozumiem, ale fakt pozostaje faktem, że bardzo wiele osób poddaje się tej bolesnej operacji. No cóż... rodzaj nieszkodliwego szmergla. Jeden lubi truskawki ze śmietaną, a drugi tatuaz na piersi albo na innej części ciała. Pytałeś Marceliego, czy to nie jego własność?

- Pytałem. Twierdzi, że nic nie wie o żadnych igłach.

Nagle Downar uderzył się dłonią w czoło.

- Czekaaj, czekaaj... Dlaczego tamta kokainowa akcja nazwana została „Aligator”?

- Dlatego, że ten facet, którego postrzeliłem, miał na prawym ramieniu wytatuowanego aligatora - odpowiedział Nowicki.

ROZDZIAŁ V

Wrócili do Warszawy.

Downar przeprowadził krótką rozmowę z Marcelim, z której właściwie nic nie mógł wynioskować.

Marceli był zupełnie zrezygnowany i nawet nie próbował dowodzić swej niewinności.

- No dobra, dobra. Jestem zawodowym handlarzem kokainy. Szmugluję także morfinę, opium i heroinę. Zabiłem oczywiście tego faceta w hotelu, bo za dużo mówił, a poza tym spostrzegł, że mam walizkę wypchaną narkotykami. Nie miałem innego wyjścia.

- Może byś przestał się wygłupiać - zaproponował Downar. - Porozmawiajmy rozsądnie.

Marceli wznurzył ramionami.

- Jakaż tu może być rozsądna rozmowa. Jesteście przekonani o mojej winie, macie dowody, podejrzewacie mnie o popełnienie tego morderstwa, nie mam alibi, nie mam absolutnie żadnych kontrargumentów. Posiedzę sobie spokojnie pudle, potem będzie rozprawa sądowa, skarżą mnie na kilka lat. Przynajmniej na razie daj mi spokój i nie zwracaj mi głowy pytaniami, bo ja mam tego wszystkiego powyżej uszu. Bądź tak dobry i zawiadom Joannę, że

siedzę.

Więc Downar odwiedził Joannę.

Była opanowana, tylko od czasu do czasu głos jej się załamywał.

- Radzi mi pan wziąć adwokata? - spytała.

- Oczywiście. To będzie konieczne. Proszę być dobrej myśli. Mam nadzieję, że... Uśmiechnęła się blado.

- Niech mnie pan nie pociesza, panie Stefanie. Nie trzeba. Wiem, że sytuacja jest beznadziejna.

Nawet ona nie jest pewna swojego męża - myślał Downar, wracając do komendy. -Cholera jasna. Postanowił zaraz pomówić z Nowickim. Usiedli w wygodnych fotelach i kazali podać kawę.

- Chciałbym, żebyś mi coś powiedział na temat tego „Aligatora” - zaczął Downar. -Obiła mi się o uszy ta sprawa, ale bliżej nią się nie interesowałem.

Nowicki zapalił papierosa i siorbnął spory łyk gorącej kawy.

- No cóż... Sprawa nie została wyjaśniona i poszła ad acta. To było chyba dwa lata temu. Musiałbym zajrzeć do akt, żeby ci dokładnie podać datę. Dostałem cynk, że na Wybrzeżu kręci się facet, który handluje narkotykami. Wziąłem wóz i pojechałem. Sporo miałem roboty, zanim wpadłem na jego trop. Komenda wojewódzka pomagała mi oczywiście. Wreszcie dopadliśmy go. Uciekał. Ostrzeliwał się. Gonilem go na motorze. Wygarnąłem z parabellum i trafiłem. Władował się na drzewo. W szpitalu umarł, nie odzyskawszy przytomności. Miał lewy paszport. Przypuszczalnie chciał wiać za granicę. Znaleźliśmy przy nim sporą ilość kokainy.

- Polak czy cudzoziemiec?

- Diabli go wiedzą. Paszport miał polski.

- I na rękę tatuaż, aligator.

- Tak. Na prawym przedramieniu.

- Badaliście ten tatuaż?

- Oczywiście. Powołaliśmy ekspertów od tych spraw, którzy wyrazili opinię, że tatuaż został wykonany zwykłą igłą i że prawdopodobnie robił go ktoś u nas. Te rzeczy trudno ustalić z całą pewnością, ale podobno pewne szczegóły przemawiały za tym, że to była nasza krajowa produkcja.

- Mam nadzieję, że w aktach znajdę powiększone zdjęcia tego tatuażu - powiedział Downar.

- Na pewno.

- To dobrze. Zajrzę sobie do tych akt.

- Czy ty chcesz wiązać to morderstwo ze sprawą „Aligatora”?

Downar nalał sobie jeszcze kawy i sięgnął po papierosy. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- No cóż... te igły do tatuażu są właściwie, jak do tej pory, jedynym konkretnym elementem, który może nas naprowadzić na ślad mordercy. Tam wytatuowany aligator, tu igły do tatuażu, w obu wypadkach w grę wchodzi kokaina. Oczywiście, że to są zupełnie luźne skojarzenia i być może, że jedno z drugim nie ma absolutnie nic wspólnego, ale na razie nie widzę nic innego, o co można by się zaczepić.

- Widzę, że wyklucasz tego dziennikarza jako kandydata na mordercę -

powiedział Nowicki.

Downar energicznie potrząsnął głową.

- Niczego nie wykluczam, ale taka ewentualność wydaje mi się bardzo mało prawdopodobna. Po pierwsze nie mamy żadnych podstaw, żeby przypuszczać, że Marceli znał Godziszewskiego, po drugie nie wierzę w to, żeby Marceli uderzeniem pięści był zdolny zabić człowieka, a po trzecie gdyby nawet miał zamiar go wykończyć, to przecież nie robiłby tego we wspólnym pokoju hotelowym. Jeżeli przyjmujemy, że...

- Zaczekaj - przerwał Nowicki. - Nie wiem, czy się orientujesz, że mamy już wyniki sekcji. Chciałbym ci zwrócić uwagę na pewne dosyć istotne szczegóły. Otóż okazało się, że kość ciemieniowa tego fotoreportera była tak niebywale cienka, że nawet niezbyt silne uderzenie mogło spowodować wylew krwi do mózgu i śmierć. Poza tym badania wykazały, że denat otrzymał silny cios w szczękę, a dopiero potem uderzenie w głowę.

- Można przypuszczać, że zerwał się z łóżka, dostał w szczękę, zatoczył się, usiadł na łóżku i dopiero wtedy tamten zaprawił go z góry w głowę.

- Tak właśnie najprawdopodobniej było - zgodził się Nowicki - i wcale nie jest wykluczone, że mógł tego dokonać twój przyjaciel, Marceli. To młody, dobrze zbudowany, wysportowany mężczyzna.

- Mogło to być niezamierzone zabójstwo - powiedział w zamyśleniu Downar.

- Oczywiście. Bardzo możliwe, że chciał go tylko ogłuszyć.

- Ale dlaczego?

- A jeżeli doszło między nimi do jakiegoś konfliktu na tle kokainy?

- Sądzisz, że ten fotoreporter?...

- A dlaczegoż by nie? Fotoreporter tak samo dobrze może handlować kokainą jak każdy inny.

- Więc upierasz się przy tym, żeby z Marcelego zrobić handlarza kokainy? Nowicki wzruszył ramionami.

- Ależ ja się przy niczym nie upieram. Tak się tylko dziwnie składa, że przy panu Donieckim bez przerwy znajdujemy kokainę. Cóż ja na to poradzę?. Stoimy wobec faktów.

Downar z wyraźną niechęcią przyglądał się opalonej twarzy przyjaciela.

- Wiesz, Władziu, co ci powiem? Ty jesteś bardzo równy facet, tylko trochę brakuje ci fantazji.

- Co tu ma fantazja do rzeczy?

- Ma, i to bardzo dużo. Zastanów się chwilę. Załóżmy, że Marceli rzeczywiście jest członkiem bandy przemytników kokainy. Zostaje nakryty z dużą partią towaru przed „Kongresową”. Czy możesz sobie wyobrazić, że ryzykowałby jazdę do Olsztyna z kokainą w walizce i do tego waliłby w łeb faceta?

- Więc skąd według ciebie wzięła się kokaina u niego w walizce?

- Nie słyszałeś o tym, że bywają wypadki, że ktoś komuś coś podrzuci?

- Zapominasz, że walizka była zamknięta na klucz, a zamek nie był wylamany.

- Rzeczywiście walizka była zamknięta na klucz - powtórzył Downar. Wstał i zostawiając nie dopitą kawę i zdziwionego Nowickiego, wyszedł z komendy.

*

Marceli nie okazywał entuzjazmu.

- Czego ty znowu ode mnie chcesz? Prosiłem cię przecież, żebyś mnie nie męczył. Chyba mam prawo, u diabła, spokojnie sobie posiedzieć w kryminale.

Downar starał się go uspokoić.

- Nie denerwuj się. Nie mam zamiaru cię męczyć. Przyszedłem, żeby z tobą porozmawiać o walizce.

- O walizce? Coś ty?....

- O twojej walizce, z którą pojechałeś do Olsztyna.

- No to co z tego, że z walizką pojechałem do Olsztyna?

- To jest porządna walizka.

- Była kiedyś. Kupiłem ją w Niemczech Zachodnich.

- Czy to prawda, że jak jechałeś do Olsztyna, to zamknąłeś ją na klucz?

- Tak. Nie mam tego zwyczaju, ale zamki są popsute i odskakują. Na wszelki wypadek wołałem zamknąć na kluczyk.

- Ile miałeś tych kluczyków?

- Dwa.

- I gdzie je trzymałeś?

- Jeden miałem w portmonetce, a drugi wisiał przy walizce na takim cienkim rzemyczku.

- Oglądałem twoją walizkę. Nie było przy niej kluczyka.

- To nie mam pojęcia, co się z nim stało. Ja go nie zdejmowałem z tego rzemyka.

- Czy w Olsztynie jeszcze wisiał przy walizce?

- Nie pamiętam.

- A pamiętasz, jacy pasażerowie jechali z tobą do Olsztyna?

- Dokładnie pamiętam. Jakaś pani z małym chłopczykiem, młode małżeństwo, staruszka i ksiądz.

- Nikt więcej nie dosiadł się w drodze?

- Nie, nikt.

- Dobrze pamiętasz twarze?

- Doskonale.

- Jak wyglądał ten młody człowiek?

- Wysoki, przystojny blondyn, o regularnej twarzy.

- A jego żona?

- Także blondynka. Robili wrażenie bardzo zakochanych. Czuli się do siebie.

- A ksiądz?

- Taki sobie prowincjonalny proboszczyna, dosyć tęgi, barczysty, dobrze odżywiony. Zabawna postać.

Downar zapalił papierosa.

- Powiedz mi, czy podczas podróży wychodziłeś z przedziału?

- Tak. Przed samym Olsztynem. Poszedłem do toalety.

- A czy otwierałeś walizkę?

- Tak. Wkładałem do walizki książkę i pisma, które kupiłem na drogę.
- I otworzyłeś walizkę kluczykiem?
- Tak.
- I zamknąłeś na klucz.
- Tak.
- A czy najpierw poszedłeś do toalety, a potem włożyłeś do walizki czasopisma, czy też odwrotnie?

Marceli zawahał się.

- Czekaj, czekaj... Niech pomyślę. To było tak: przed samym Olsztynem zdjąłem z siatki walizkę, włożyłem do niej gazety i książkę i poszedłem do toalety.

- Zostawiając walizkę na siedzeniu.
- Oczywiście. Nie było przecież sensu pchać jej na górę. Zaraz był Olsztyn.
- A czy w hotelu otwierałeś walizkę?
- Otwierałem. Wymowałem kanapki, które mi Joanna zapakowała na drogę.

- Czy wtedy zauważyłeś, że kluczyka nie było przy walizce?

- Nie pamiętam. Nie zwracałem na to uwagi.

- A gdzie były kanapki w walizce?

- Na samym wierzchu.

Downar wstał.

- No, dobra. Na razie to byłoby chyba wszystko, co chciałem wiedzieć.

- Nie rozumiem, dlaczego cię tak interesuje moja walizka - mruknął Marceli.

Downar uśmiechnął się.

- Zobaczymy, co z tego wszystkiego wyniknie. Na razie trzymaj się i nie upadaj na duchu.

- Jestem przygotowany na dożywocie.

- Daj spokój. Może tak źle nie będzie.

Marceli z pesymistycznym wyrazem twarzy pokręcił głową.

- Dożywocie za handel narkotykami i morderstwo z premedytacją to bardzo łagodny wymiar kary. Nie uważasz?

ROZDZIAŁ VI

Koncepcja była dosyć fantastyczna, ale Downar zaufał swojej intuicji. Zresztą nie miał wyboru. Mógł albo uwierzyć bez zastrzeżeń w winę Marcelego, albo...

Kazał powielić odбитki aligatora i rozpoczął poszukiwania.

Sprawa nie była łatwa. Należało działać niezwykle ostrożnie i dyskretnie. Nikt nie powinien się domyślić, że milicja interesuje się człowiekiem, który wykonał swego czasu ten tatuaż. Wszystkie komendy na Wybrzeżu otrzymały odpowiednie instrukcje.

Nie można było oczywiście wykluczyć, że autorem tatuażu był człowiek mieszkający na przykład w Zakopanem, ale istniało większe prawdopodobieństwo znalezienia go w pobliżu morza, w środowisku marynarskim. Nikt przecież tak jak marynarze nie pasjonuje się

przyozdabianiem sobie skóry tatuażem.

Czas płynął, a poszukiwania nie dawały żadnego rezultatu. Downar zaczynał tracić nadzieję. A może to jakiś zagraniczny fachowiec wytatuował aligatora na ramieniu handlarza kokainą? Nie było przecież pewności, że tego zabiegu dokonano na terenie Polski. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości - tatuaż był stosunkowo świeży. Stwierdzili to eksperci.

Zarówno pułkownik Leśniewski, jak i Nowicki ustosunkowali się bardzo pesymistycznie do tej akcji.

- Daj sobie spokój - mówili. - Czas tylko tracisz. Jakież masz szanse, że znajdziesz tego faceta? A gdybyś nawet znalazł, to co z tego?

Ale Downar był uparty i jak sobie coś wbił do głowy, niełatwo się zniechęcał. Czuł, że każdy dzień zmniejsza jego szanse, ale jeszcze nie kapitulował. Kręcił się po Wybrzeżu. Odwiedził Szczecin, Gdańsk, Gdynię, zajrzał na Hel i do Jastarni. Przesiadywał w marynarskich knajpach, nawiązując rozmowy z przygodnie napotkanymi ludźmi, na których skórze dostrzegł tatuaż. Pokazywał powiększone zdjęcie aligatora, obmyślając coraz to inną legendę uzasadniającą jego poszukiwania. Wszystko na próżno.

I właśnie w momencie kiedy ogarnęło go zwątpienie...

Żeby nic sobie nie mieć do wyrzucenia, pojechał do Sopotu. Niewiele co prawda obiecywał sobie po tej miejscowości zapchanej letnikami, ale chciał mieć czyste sumienie, aby móc powiedzieć, że niczego nie zaniedbał.

Było pogodne, słoneczne popołudnie. Po upalnym dniu ciągnął od morza chłodny, orzeźwiający wiatr. Na sopockiej promenadzie błyszcząły wielobarwne wdzianka i opalone twarze. Downar zjadł porcję czekoladowych lodów z maszyny i osowiałym spojrzeniem wodził po kolorowym tłumie. Zazdrościł tym ludziom, którzy tak beztrąsko wałęsali się, liżąc lody, jedząc kielbasę z rusztu i przystając przed wystawami sklepowymi.

Postanowił pójść na molo, żeby popatrzeć na morze i uspokoić trochę nerwy.

Zapach słonej wody mieszał się tu z wonią gnijących wodorostów, wyrzucanych przez fale. Mewy w poszukiwaniu żeru unosiły się nisko ponad białymi grzebieniami. Wschodnio-południowy wiatr zapowiadał pogodę.

Downar doszedł do końca mola i zawrócił. Był niezadowolony z siebie.

Zdaje się, że porwałem się z motyką na słońce - myślał. - Właściwie wszystko to nie ma sensu.

- Usiadł na ławce, żeby trochę odpocząć. Łaził przecież po plaży i po mieście od wczesnego rana.

Dopiero po chwili spostrzegł, że koło niego siedzi młody, dwudziestoparoletni chłopak. Wyglądał na ratownika albo na marynarza. Patrzył na morze i nie zwracał uwagi na siedzącego obok mężczyznę.

W pewnym momencie podwinął lewy rękaw koszuli, żeby się podrapać w rękę i wtedy Downar spostrzegł wytatuowaną głowę młodej dziewczyny.

- Ładna pamiętka - powiedział. - Fajnie odrobione.

- Podoba się panu? - ożywił się chłopak. - To portret mojej narzeczonej. Nie za bardzo podobna, ale tego nie robił taki dobry fachowiec. Żeby pan widział, jakiego mi aligatora zrobił stary na plecach. Jak żywy. To jest artysta. Mało teraz takich fachowców.

- Aligatora? - spytał Downar, usiłując nie okazać zbyt wielkiego zainteresowania.

- No tak. Na plecach między łopatkami. Jak ruszę plecami, to się robi większy. Chce pan zobaczyć? O, niech pan popatrzy.

Odwrócił się i podniósł koszulę.

Downar poczuł, że fala gorącej krwi uderza mu do głowy. Aligator na opalonej skórze chłopca przypominał do złudzenia tatuaż ze Zdjęcia, które miał w kieszeni.

- Rzeczywiście piękna robota - powiedział z zachwytem. - Kto to panu robił?

- A tu jest taki starszy gość, co się tym zajmuje. Teraz to nawet taką elektryczną maszynkę sobie skombinował. Podobno ktoś mu z Anglii przywiózł. Tego aligatora to mi już tą maszynką robił. Technika.

Downar pokręcił głową z uznaniem.

- No, no.. Sam bym sobie coś takiego dał zrobić.

- Jak pan chce, to pana zaprowadzę do starego. Mieszka za Jelitkowem. Ale taka rzecz to kosztuje sporo forsy.

- Spróbuję się potargować - uśmiechnął się Downar. - Jakby pan mnie mógł zaprowadzić do tego fachowca...

Chłopak spojrzał na zegarek.

- Chyba że jutro, bo dzisiaj nie mogę, umówiłem się.

- Niech mi pan tylko poda jego nazwisko. Jakoś przecież trafię. Wiem, gdzie jest Jelitkowo.

- No jasne, że pan trafi. Tam go znają. Nazywa się Wakus, Tomasz Wakus. Mieszka w takim żółtym domu, ogrodzonym siatką. Rosną tam jakieś kwiatki. Łatwo pan trafi, jak pan pójdzie prosto ponad plażą.

*

Domek był raczej brązowy aniżeli żółty i rosły przed nim malwy.

Tomasz Wakus, wysokie, kościste chłopisko, z krótko przystrzyżoną siwą brodą, siedział na ławce i palił fajkę. Obok niego tęga kobieta podlewała kwiaty.

Downar skłonił się uprzejmie.

- Bardzo przepraszam, czy tutaj mieszka pan Wakus?

- To ja jestem - padła szorstka odpowiedź. - A o co chodzi?

- Spotkałem przypadkowo pańskiego znajomego, który prosił, żebym panu oddał igły do maszynki do tatuazu.

- To na pewno od Wikarego! - zawołała Wakusowa.

Stary posłał żonie szybkie, gniewne spojrzenie. - Nie pleć głupstw.

Zwrócił się do Dowmara: - Ja, panie, żadnych igieł nie potrzebuję. To pomyłka.

- Ten marynarz wyraźnie mi podał pańskie nazwisko. Nie miał czasu przyjechać do Sopotu, a ponieważ ja akurat jechałem, to mnie poprosił...

- To pomyłka - powtórzył twardo Wakus.

- Ale pan przecież wykonuje tatuaz.

- A panu co do tego?

- Skierowano mnie do pana jako do pierwszorzędnego fachowca. Rozmawiałem na molo z jednym młodym chłopakiem, który miał

wytatuowanego na plecach pięknego aligatora. Mówił, że to pana robota.

Stary wyjął fajkę z zębów i spytał:

- A pan kto? Marynarz?
- Marynarzem także kiedyś byłem, ale takie tam miałem komplikacje, wie pan, jacy są ludzie. Napłotkowali na mnie. Bóg wie, co nagadali. Musiałem zrezygnować z pracy, we flocie. Teraz kombinuję na lądzie. Handluje się trochę.
- Po co pan do mnie przyszedł? - spytał Wakus.
- No, przecież powiedziałem. Chciałem panu oddać te igły, a przy okazji chciałem się dowiedzieć, ile by kosztował tatuaż.
- Ja panu żadnego tatuażu robić nie będę. Niech pan idzie gdzie indziej. Ja się tym nie zajmuję. Czasami komuś znajomemu... A te igły mi niepotrzebne. Nic o nich nie wiem. Nikogo o nie nie prosiłem. Pomylił się pan.

Downar stał niezdecydowany. Nie wiedział, co by tu wykombinować, żeby pozyskać zaufanie starego.

- Jak pan nie chce tych igieł, to nie, ale nie wiem, co z nimi mam zrobić. Pomówmy o czym innym. Wolałbym tylko w cztery oczy.

- Przy żonie może pan wszystko mówić. Ona i tak niespełna rozumu. Od czasu wojny jej to zostało.

Downar usiadł na ławce i powiedział cicho, pochylając się do starego:

- Mam tu jednego gościa, którego trzeba przerzucić na tamtą stronę. Kupę forsy zapłaci.

- Daj mi pan święty spokój! - zachnął się Wakus. - Ja się takimi sprawami nie zajmuję. Idź pan do diabła i nie zawracaj mi pan głowy.

Downar wstał i otrzepał spodnie,

- Nie, to nie. Szkoda. Dobry interes. Widzę, że z panem nic nie załatwię. Do widzenia panu, panie Wakus. Bądź pan zdrow. A te igły zabierz pan sobie, bo jak nie, to wrzucę je do morza. Nic mi po nich.

*

Downar odbył w sopockiej komendzie krótką naradę, na której ustalono, że wywiadowcy wezmą pod obserwację starego Wakusa i jego żonę. O człowieku posługującym się przezwiskiem Wikary nikt tu nie słyszał.

- Wikary, Wikary... nie, nie spotkaliśmy się tu z takim facetem. Jedźcie do Gdyni, do Gdańska, tam prędzej się czegoś dowiedzie między marynarzami.

I Downar pojechał.

W Gdańsku także nie zdobył żadnych informacji ani w komendzie wojewódzkiej, ani w portowych knajpach. Dopiero w Gdyni...

Porucznik Wronecki, szczupły, ruchliwy brunet ze starannie przystrzyżonym małym wąsikiem, pomyślał chwilę i powiedział:

- Zdaje mi się, towarzyszu, że już kiedyś mieliśmy do czynienia z gościem, który używał pseudo Wikary. Nie jestem pewien. Musiałbym sprawdzić w archiwum.

- Błagam was, sprawdźcie jak najszybciej. To bardzo ważne.

- Postaram się. Przyjdźcie jutro.

Na drugi dzień z samego rana Downar z bijącym sercem wchodził do gdyńskiej komendy, jakby go tam czekał trudny egzamin. Czuł coś w rodzaju tremy.

Twarz porucznika Wroneckiego rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

- Okazuje się, że mam jeszcze niezłą pamięć. Wyobraźcie sobie, że odkopałem akta Wikarego. - Wyjął kartkę papieru, pokrytą maszynowym pismem, i przeczytał: - Marian Bosiewicz urodzony 23 października 1924 roku w Bydgoszczy, syn Witolda i Heleny Morawskiej. Ukończył seminarium duchowne. W latach 1945-1949 sprawował funkcje wikarego we wsi Stara Wólka w województwie lubelskim. W roku 1950 zrzuca suknie duchowne dla jakiejś dziewczyny i wyjeżdża z nią na Wybrzeże. Do roku 1952 pracuje w Centrali Rybnej. Zostaje zwolniony w związku z jakimiś malwersacjami. Nic mu jednak nie udowodniono. W roku 1953 zaczyna pracować we flocie handlowej. Odbywa szereg rejsów w charakterze ochmistrza. Zostaje przyłapany na szmuglu i zwolniony z floty. Odsiada rok więzienia. Podczas następnych lat nigdzie nie pracuje. W roku 1957 zostaje zatrzymany przez milicję w związku z handlem narkotykami. Po przesłuchaniu zwolniony z powodu braku dowodów winy.

- Daktyloskopowany? - spytał Downar.

- Oczywiście. Możecie otrzymać piękne odbitki wszystkich dziesięciu palców.

- Macie jego zdjęcia?

- Tak. Zaraz wam pokażę.

Porucznik wyjął z szarej koperty kilka fotografii.

Downar przez chwilę przyglądał się szerokiej, mięsistej twarzy, okolonej półkolistą, ciemną brodą.

- Zdjęcia sprzed dziesięciu lat. Trudno byłoby dzisiaj go zidentyfikować.

- Szczególnie jeżeli zgolił brodę - uśmiechnął się Wronecki.

- Czy w ciągu ostatnich dziesięciu lat nie mieliście już z nim do czynienia?

- Nie.

- I oczywiście nie znacie jego adresu.

- Wtedy mieszkał w Orłowie, a teraz...

- Muszę go koniecznie wytropić - powiedział Downar. - Liczę na waszą pomoc.

- Zrobimy, co będzie w naszej mocy, towarzyszu majorze. Nie będzie to łatwe. Musimy się liczyć z tym, że facet zmienił nazwisko i legitymuje się fałszywym albo skradzionym dowodem osobistym. Tak czy inaczej poszukamy go na Wybrzeżu.

Downar wstał.

- Na razie to chyba byłoby wszystko. Chciałbym dostać od was ze dwie podobizny Wikarego i jego adres sprzed dziesięciu lat. Ja mieszkam w Sopocie, w Grand Hotelu. W razie czego dajcie mi znać. Pamiętajcie, że występuję oficjalnie jako dziennikarz telewizyjny. Nazwisko bez zmian. I jeszcze jedna sprawa. Zawiadomcie mnie natychmiast, gdybyście na waszym terenie spotkali się z przypadkiem narkomanii.

Porucznik dotknął kantem dłoni szyi.

- U nas najgłówniejszy narkotyk to gorzała. Ale jeżeli coś by się trafiło, to zadzwonimy.

Wyszedłszy z komendy Downar usiadł w pierwszej napotkanej kawiarni, napisał list do

Nowickiego i do koperty wsunął dwa zdjęcia Wikarego.

Ciekawe, co Marceli powie na tę mordę - pomyślał.

*

Nazajutrz Downar wrócił do Sopotu. W hotelu dowiedział się od portiera, że nikt do niego nie telefonował i że nie ma żadnej korespondencji.

Pogoda była wspaniała. Niebo bez jednej chmurki, słońce solidnie przypiekało. Po prostu wypadało chociaż na godzinę pójść na plażę.

Leżąc na rozgrzanym piasku, zastanawiał się nad tą całą historią. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jeszcze ciągle obraca się w sferze luźnych hipotez, że jego teoria oparta jest nie na konkretnych faktach, ale na przesłankach wysnutych z fantazji. Wszystko to przecież mogły być nic nie znaczące zbiegi okoliczności, które on naginał do swojej koncepcji. Co jednak z tego pokrywa się z rzeczywistością?

Obok stał leżak, a na nim ładna dziewczyna. Wyciągnęła się na całą długość zwracając twarz ku słońcu. Opalone na ciemny brąz ciało opinał biały elastyczny kostium zagranicznego pochodzenia. Gęste, jasne włosy dotykały ramion. Nogi miała smukłe, muskularne, zakończone zgrabnymi, drobnymi stopami, starannie wypielęgowanymi.

Fajna babka - pomyślał Downar, rzucając od czasu do czasu dyskretne spojrzenie w kierunku kolorowego leżaka.

Nie była taka bardzo młodziutka, jak mu się początkowo wydawało. Mogła mieć trzydzieści kilka lat, ale nie straciła nic ze swej atrakcyjności, przeciwnie, przyciągała wzrok mężczyzn kobiecą dojrzałością. Wyczuwało się, że w pełni zdaje sobie sprawę z wrażenia, jakie wywiera jej uroda.

Nie trzeba było zbyt bystrego obserwatora, żeby się zorientować, że to nie jest skromna urzędniczka spędzająca urlop nad morzem. Wszystko, począwszy od kostiumu kąpielowego, a kończąc na plażowym kapeluszu, torbie i pantofelkach, kosztowało dużo i było kupione za dolary, funty lub franki. Nie wyglądała mimo to na jedną z tych, co krążą po luksusowych hotelach, polując na walutowych klientów.

Downar z rosnącym zainteresowaniem obserwował piękną nieznajomą. Po pierwsze, co tu ukrywać, podobała mu się. A po drugie przyszło mu na myśl, że za jej pośrednictwem mógłby może nawiązać kontakt z pewnymi sferami. Był prawie pewien, że mieszka w Grand Hotelu i że jeżeli nawet sama nie jest cudzoziemką, niewątpliwie ma kontakty z zagranicznymi gośćmi. Tych właśnie kontaktów on w danym momencie bardzo potrzebował.

Zauważyła oczywiście, że wzbudziła; zainteresowanie, i zaczęła się zachowywać z lodowatą obojętnością, ignorując całkowicie leżącego obok na piasku mężczyznę.

Nie śpiesz się, Stefanku - myślał Downar. - Cierpliwości. Co nagle, to po diable. W końcu nadarzy się jakaś okazja.

I rzeczywiście okazja nadarzyła się.

Sięgnęła po torbę, żeby coś z niej wyjąć. Przechyliła się zbyt gwałtownie i byłaby się przewróciła razem z niedbale, ustawionym leżakiem, gdyby nie Downar. Zerwał się błyskawicznie i chwycił ją w ostatnim momencie.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. - Ocalił mnie pan od upadku. To

bardzo uprzejmie z pana strony. - Mówiła zupełnie poprawnie po polsku, ale wyczuwało się trochę twardszy, cudzoziemski akcent.

- Pani chyba nie jest Polką.

Energicznie skinęła głową.

- Jestem Polką. Mieszkam w Londynie już dawno i dlatego może nie zawsze mówię tak, jak trzeba. Moi rodzice wyjechali do Londynu jeszcze przed wojną, ale z rodzicami zawsze mówiłam po polsku.

- Pierwszy raz pani przyjechała do Polski?

- O, no. Byłam już dwa lata temu i trzy lata temu. Podoba mi się.

- I pani tak sama podróżuje?

- Nie. Z mężem. On także jest Polak. Ale teraz go nie ma. Pojechał do swojej rodziny, do Olsztyna. Ja nie chciałam jechać. Nudno z rodziną męża. Wolalam zostać w Sopocie. Taka piękna pogoda. Lubię się opalać.

- Dawno mąż panni wyjechał?

- Dobrze nie pamiętam. Chyba dwa tygodnie temu, może dawniej. Tak mi tu prędko czas biegnie.

- I nie smutno pani samej?

- Och, nie. Są znajomi, przyjaciele. Wesoło.

Downar chciał jeszcze o coś zapytać, ale doszedł do wniosku, że i tak zbyt szybko ciągnął tę indagację. Mogło się to w końcu wydać podejrzane.

Piękne ma zęby, bestia - myślał z uznaniem. - Jeżeli nie sztuczne, to coś fantastycznego.

Ułożył się na swoim dawnym miejscu, patrząc przed siebie. Po chwili spytała:

- A pan pewnie przyjechał na urlop, na odpoczynek.

- Trochę odpoczywam, a trochę pracuję. Jestem dziennikarzem telewizyjnym. Zbieram materiały.

- O, to bardzo ciekawe.

- Tak. Żywa praca, dosyć interesująca.

- Muszę pana koniecznie zapoznać z Bobem.

- Kto to jest Bob?

- To amerykański dziennikarz. Mieszka teraz w Londynie. Zabraliśmy go ze sobą, żeby mu pokazać Polskę. Miły chłopak. Bardzo się ucieszy, jak pana pozna.

- Miło mi będzie zawrzeć znajomość z amerykańskim kolegą po fachu - powiedział Downar.

W tym momencie na piasek padł cień. Downar odwrócił się. Koło nich stał muskularny, barczysty mężczyzna, którego pierś i ramiona pokryte były gęstym włosiem. Miał na sobie krótkie, niebieskie szorty. Przeciwsłoneczne okulary zasłaniały oczy.

- Szukam cię po całej plaży, Lizo. Czas na obiad.

- Jem obiad wtedy, kiedy jestem głodna - mruknęła, niezadowolona. - Może się panowie poznają. To jest przyjaciel mojego męża, a to pan... pan... Ja nawet nie znam pańskiego nazwiska - roześmiała się.

Downar podniósł się i uściśnął owłosioną łapę Edmunda Łosieckiego. Poczuli, że nie lubi tego człowieka.

- Muni także przyjechał z Londynu, żeby odwiedzić ojczyznę - wyjaśniła Liza.

- Widzę, że to jakaś zbiorowa wycieczka - uśmiechnął się Downar. Łosiecki zwrócił ku niemu ciemne okulary.
- Chyba to pana nie dziwi, że chcemy zobaczyć rodzinne strony.
- Oczywiście, że mnie nie dziwi. Cieszymy się, kiedy rodacy ściągają do nas z zagranicy.
- Lubicie obcą walutę, co?
- A kto nie lubi waluty?
- No, może jednak pójdziesz z nami na obiad? - zaproponował Łosiecki.
- Dobrze, już dobrze. Idę.

Kiedy zbierała rzeczy, przewróciła torbę, z której wysypały się na piasek różne drobiazgi, a między innymi parę poduszeczek plastikowych z olejkami do opalania.

- Jesteś bardzo niezgrabna - burknął niezbyt uprzejmie Łosiecki i zaczął pośpiesznie zbierać.

*

Downar, zadowolony z plażowej znajomości, postanowił nie tracić kontaktu z piękną panią Lizą i jej owłosionym towarzyszem. Należeli do środowiska, które mu było w danej chwili potrzebne. Obcując z tymi ludźmi mógł się dowiedzieć wielu interesujących rzeczy.

Tego samego dnia wybrał się wieczorem na dansing.

Od razu go spostrzegła i zaczęła energicznie machać do niego ręką.

Podszedł do ich stolika.

- Nie przeszkadzam?
- Ale skądże. Niech pan siada, prosimy. Będzie nam bardzo miło, panie...?
- Stefanie - odpowiedział z uśmiechem.

Traktowała go jak starego znajomego. Zauważył, że Łosiecki nie jest tym zbyt zachwycony.

- Może się pan pozna z naszym amerykańskim przyjacielem i z uroczą panną Alicją.

- Halo! - zawołał entuzjastycznie Bob Snobes, wyciągając muskularną, opaloną rękę.

Był to wysoki dryblas o szerokiej twarzy, rozjaśnionej niezbyt inteligentnym uśmiechem. Wiedział, że ma ładne zęby i przy każdej okazji demonstrował je. Miał na sobie obcisłe džinsy i flanelową koszulę w czarno-zieloną kratę. Nonszalancko zakasał rękawy, wiedząc, że dolarowym gościom wszystko wolno.

Alicja, słodka blondynka, odnosiła się do amerykańskiego dziennikarza ze zdecydowaną zaborczością. Jedno spojrzenie wystarczyło Downarowi, żeby się zorientować, że to miejscowa piękność, wykorzystująca znajomość języków obcych. Bob patrzył na nią z zachwytem i poklepywał czule po policzkach.

Downar za mało znał angielski, żeby móc brać udział w rozmowie. Konwersacja ogólna nie trwała jednak zbyt długo, ponieważ Amerykanin zanadto zajęty był swoją sympatią, żeby zwracać uwagę na resztę towarzystwa.

Orkiestra zagrała tango.

- Zatańczy pan ze mną, panie Stefanie? - spytała Liza.
- Z największą przyjemnością.

Łosiecki odprowadził ich chmurnym spojrzeniem.

Kiedy zaczęli dreptać na zatłoczonym parkiecie, Downar poczuł, że usta pani Lizy, zbliżyły się do jego ucha.

- Podoba mi się pan - szepnęła.
- Pani jest urocza.
- Mam dosyć tego goryla.
- Czy ma pani na myśli pana Łosieckiego?
- A kogóż mogłabym mieć na myśli? Jest nudny, głupi i zazdrosny.
- Zazdrosny?
- Do obrzydliwości. Zdaje mu się, że ma do mnie jakieś prawa.
- A nie ma?
- A jakież ten idiota może mieć do mnie prawa? Śmieszne. Od paru lat usiłuje zdobyć moje względy i nie chce zrozumieć, że ja nie mogę na niego patrzeć. Już nawet postanowiłam o tym wszystkim powiedzieć Edwardowi. Ale nie chcę go denerwować. On jest taki wrażliwy. Uważa Łosieckiego za swojego najlepszego przyjaciela.

Downar nie bardzo wiedział, po co ta babka opowiada mu to wszystko. Milczał.

- Co mi pan radzi? - spytała. Uśmiechnął się.
- Trudno coś radzić. Wydaje się, że w takiej sytuacji kobieta sama wie najlepiej, jak ma postąpić.
- Mam do pana ogromną prośbę.
- Słucham.
- Czy mógłby pan dotrzymywać mi towarzystwa? Chociaż przez kilka dni, dopóki Edward nie wróci.

- Z prawdziwą przyjemnością - powiedział bez wahania Downar.
 - Dziękuję. Jest pan bardzo miły.
- Orkiestra przestała grać. Wrócili do stolika. Bob całował Alicję. Byli sami.
- Gdzie pan Łosiecki? - spytała Liza.
 - Zdaje mi się, że poderwał jakiegoś kociaka - zaśmiała się Alicja. - Widziała może pani taką rudą w czarnej sukni?

Zjedli kolację, potańczyli, a Łosiecki nie wracał. Bob zapłacił rachunek i zaprosił Alicję na drinka do swego pokoju. Downar i Liza zostali sami.

- To bardzo miło, że go nie ma - powiedziała. - Może wreszcie zainteresuje się jakąś inną kobietą.

- Ma pani w nim aż tak wiernego adoratora?
- Mówię panu przecież, że od lat zadręcza mnie swoją miłością. Zrobiłby dla mnie wszystko. Inne kobiety dla niego nie istnieją. To bardzo uciążliwe.
- Zawsze mi się zdawało, że kobiety lubią mieć adoratorów.
- Czy pan jest śpiący? - spytała niespodziewanie.

- Spojrzał na nią zdziwiony.
- Czy wyglądam na śpiącego? Nie chce mi się spać.
 - To doskonale. Coś panu zaproponuję. Nie mam ochoty wracać do numeru. Co by pan powiedział na to, gdybyśmy pojechali do Jastrzębiej Góry?

- Jeżeli tylko ma pani ochotę.
- W Jastrzębiej Górze mieszka jeden nasz znajomy. Bardzo ciekawy człowiek. Wielki oryginał.

- Nie sądzi pani, że trochę za późno na odwiedzinę?
- Ależ nie. Joachim prowadzi nocny tryb życia. U niego dopiero koło dziesiątej zbierają się goście. Zobacz pan, jaki to sympatyczny dziwak.
- Nie zaczekamy na pana Łosieckiego?
- A po co? Czy nam jest źle we dwoje?

Kiedy otwierała drzwiczki czerwonego jaguara, Downar miał chwilę wahania. Nie był pewny, czy dobrze robi, jadąc z tą babką do Jastrzębiej Góry. Było jednak za późno, żeby się wycofać.

Widocznie wyczuła jego wątpliwości, bo roześmiała się.

- Niech pan się nie boi. To bardzo szybki wóz, ale ja jeżdżę ostrożnie. I nigdy nie piję alkoholu. Miał pan zresztą okazję zauważyć. Proszę, mech pan siada przy mnie.

Prowadziła po mistrzowsku, ale nie tak znowu ostrożnie. Szybkościomierz często wskazywał sporo ponad sto kilometrów.

Zatrzymali się przed białą, piętrową willą otoczoną drzewami. Dwa rosłe wilczury biegały po ogrodzie. Zwęszywszy obcych zaczęły ujadać natarczywie.

Liza nacisnęła dzwonek.

Po chwili przybiegła zgrabna dziewczyna w podkasanej spódnicze.

- O, dobry wieczór - zawołała wesoło. - Pan się bardzo ucieszy, że pani przyjechała. Akurat są u nas goście.

- A kiedy u was nie ma gości? - uśmiechnęła się Liza.

Weszli do dużego hallu. W złotawym półmroku rysowały się kształty mebli pokrytych jasnymi pokrowcami.

- Zaraz zawiadomię pana, że pani przyjechała - powiedziała pośpiesznie dziewczyna, ciągle ignorując obecność obcego mężczyzny.

Joachim Tarnowiecki był wysoki i chudy. Długa twarz, zakończona końską szczęką, przypominała Fernandela. W ciemnych, inteligentnych oczach często pojawiała się drwina.

Serdecznie przywitał się z Lizą i pytające spojrzenie skierował na jej towarzysza.

- To jest mój nowy przyjaciel - wyjaśniła.

- Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi - powiedział, ściskając długimi palcami dłoń Downara. - Cieszę się, że was widzę. Jest u mnie kilka miłych osób. Właśnie mieliśmy zamiar obejrzeć nieprzyzwoite filmy. Chyba się nie zgorszysz, Lizo.

- Na pewno nie - zaśmiała się. - Wiesz przecież, że ja się tak łatwo nie gorszę.

- Jesteście po kolacji?

- Tak.

- To świetnie. Dostaniecie coś przyjemnego do picia. Chodźcie, bo widownia już się niecierpliwi.

W dużym pokoju siedzieli mężczyźni i kobiety. Pili cocktaile i palili papierosy. Na ścianie był ekran. Przy aparacie projekcyjnym stał młody, jasnowłosy chłopiec o twarzy rafałowskiego cherubina. Oglądał taśmy.

Ogólne powitanie. Tarnowiecki, czyniąc honory domu, napełnił dwa kieliszki różowym płynem.

- Siadajcie, moi mili, na tych tu fotelach i patrzcie. Jeżeli znudzicie się, to szczerze powiedzcie. Obmyślimy coś innego. Do rana jeszcze daleko.

Światło zgasło. Jakaś kobieta westchnęła głęboko.

Krótkometrażówki nie były zbyt przyzwoite. Błyskawiczne scenki realizowane przez amatorów. Co chwila wybuchały śmiechy i słyhać było niewybredne komentarze. Wypity alkohol sprzyjał swobodnej atmosferze.

Downarowi nie bardzo podobała się ta zabawa. Czuł niesmak. Miał ochotę wrócić do hotelu i położyć się spać. Nie mógł jednak tego zrobić.

Kiedy wejdiesz między wrony... - pomyślał i cierpliwie czekał końca tej zabawy.

W pewnej chwili na ekranie pojawił się samochód. Duże zbliżenie. Na dachu tego samochodu tańczyła naga dziewczyna, a na masce siedział tęgi mężczyzna w sutannie i grał na gitarze. W następnej zaraz scenie dziewczyna w sutannie tańczyła na dachu samochodu, a mężczyzna przygrywał jej na gitarze. Nad kierownicą kołysała się, dobrze widoczna, oryginalna maskotka, złoty centaur.

Downar poczuł, że fala gorącej krwi uderza mu do głowy. Jak urzeczony wpatrywał się w ekran. Nie wierzył własnym oczom..

Zabłysło światło.

- O, widzę, panie Stefanie, że jest pan pod wrażeniem - powiedziała wesoło Liza. - Jeszcze nie takie rzeczy pan tutaj zobaczy. Wpadniemy do Joachima w przyszłym tygodniu. Będzie wesoło.

- Nie wiedziałem, że nawet księża biorą udział w tego rodzaju zabawach - uśmiechnął się Downar.

Tarnowiecki, który do nich podszedł i usłyszał ostatnie zdanie, roześmiał się.

- Nie każdy, kto ma na sobie sutannę, jest księdzem. Habit nie czyni mnicha, jak powiadają Włosi.

Rozmowa stała się ogólna. Wymieniano między sobą wrażenia, krytykowano niektóre ujęcia. Kobiety miały wypieki na policzkach. Mężczyźni udawali bardziej zblazowanych, aniżeli byli nimi istotnie. Pojawiły się butelki z koniakiem.

- Wracamy - szepnęła Liza, pochylając się do Downara.

W powrotnej drodze prowadziła jaguara z jeszcze większą brawurą. Chwilami zapierało mu dech w piersiach. Przynależał sobie, że już więcej nie siądzie z nią do tej piekielnej maszyny.

Był już dzień, kiedy przyjechali przed? Grand Hotel.

- Nie wiadomo, czy to bardzo późno, czy bardzo wcześnie - uśmiechnęła się Liza.

- To prawda - przytaknął Downar. - Ale tak czy inaczej wydaje mi się, że należy nam się trochę snu.

Nie myślał jednak o spaniu. Połączył się z portiernią i zamówił błyskawiczną rozmowę z Warszawą.

Głos Nowickiego był rozpaczliwie zaspany.

- Czyś ty zwariował, Stefan? Orientujesz się, która to godzina?

- Orientuję się. Za piętnaście czwarta. Przetrzyj oczy i słuchaj uważnie, co ci powiem.

- Nie mogłeś zadzwonić trochę później?

- Nie mogłem. Rannym samolotem wyślij mi fotografie tego wozu i odbitki daktyloskopijne. Czy Marcelli widział zdjęcie tego faceta z brodą?

- Widział. Twierdzi, że nie spotkał nikogo podobnego. Ta twarz nic mu nie mówi.

- Nie szkodzi. Pośpiesz się z tą przesyłką.

- Już się ubieram. Niech cię wszyscy diabli.

Po załatwieniu tej sprawy Downar ziewnął i przeciągnął się. Podniecenie powoli zaczęło opadać. Poczuł zmęczenie. Rozebrał się, wziął prysznic i z prawdziwą przyjemnością wsunął się pod chłodne prześcieradło. Zanim zasnął, myślał przez dłuższą chwilę o tym, że na fotografii rozbitego samochodu chyba na pewno widział złotego centaury nad kierownicą.

*

Nie spał długo. Napięte nerwy nie pozwalały na spokojny wypoczynek. Wstał, ogolił się, wykąpał i ubrany w elegancki garnitur z jasnego tropiku zszedł do hallu.

Spostrzegł rozmawiającego z portierem młodego człowieka w nieco za luźnej, popielatej marynarce.

- O, właśnie jest pan Downar - powiedział portier.

Sierżant Mielnicki odwrócił się błyskawicznie i nim Downar zdążył cokolwiek powiedzieć, wykrzyknął uradowany:

- Przyleciałem, towarzyszu majorze. Przywiozłem, co trzeba.

Downar spiorunował go wzrokiem. Młody człowiek spłoszował i zaczął się jąkać.

- Ja właśnie tego... ja... Ja przywiozłem panu te materiały do scenariusza. Bo u nas w wytwórni, u nas w studio...

- Może pan wejdzie do mnie na górę.

Kiedy znaleźli się w pokoju, sierżant najprzód zrobił się czerwony, potem przybladł, potem znowu oblał się rumieńcem.

- Ja bardzo przepraszam. Mnie się tak jakoś niechcący wyrwało. Ja przecież nie chciałem... Słowo honoru.

- Zachowaliście się jak skończony idiota - powiedział bez ogródek Downar.
- Dajcie mi te materiały i wracajcie do Warszawy.

Mielnicki położył na stole dużą, szarą kopertę, którą Downar rozerwał niecierpliwie. Kilka powiększonych fotografii rozbitego wozu i odbitki daktyloskopijne.

Pochwycił zdjęcia. Tak. Nie mylił się. Nad kierownicą figurka centaury. Nie było wątpliwości.

*

Z automatu zadzwonił do sopockiej komendy. :

- Jest co nowego?

- Tomasz Wakus był wczoraj w Gdańsku. Spotkał się w kawiarni z jakimś cudzoziemcem. Rozmawiali po niemiecku.

- Jak wyglądał ten cudzoziemiec?

- Wysoki, tęgi. Nie ma lewej ręki. Przystojny mężczyzna.

- Gdzie mieszka?

- W Gdańsku, w hotelu.

- Obserwujcie w dalszym ciągu Wakusa. Połączcie się z komendą

województwą w Gdańsku i powiedzcie im, że proszę, alby inwigilowali tego bezrękiego cudzoziemca. Gdyby chciał opuścić Polskę, niech go pod jakimkolwiek pretekstem zatrzymają. To bardzo ważne. I jeszcze jedna sprawa. Przyślijcie mi wóz z dobrym kierowcą. Niech czeka na mnie w okolicy Grand Hotelu. Najlepiej koło postoju taksówek. To wszystko. Cześć.

Powietrze było ciężkie i parne jak przed burzą. Downar czuł nieznośny ucisk w skroniach. W jednym kiosku remanent, a w drugim zabrakło proszków od bólu głowy.

Poszedł do apteki. Przechodząc koło „Złotego Uła” spostrzegł na werandzie Alicję. Nie siedziała jednak z amerykańskim dziennikarzem. Tym razem towarzyszył jej wysoki, elegancko ubrany pan o mocno zarysowanej, opalonej twarzy. Lewa ręka w czarnej rękawiczce leżała nieruchomo na stoliku.

*

- Dokąd jedziemy, towarzyszu majorze?
- Przede wszystkim nie nazywajcie mnie „towarzyszem majorem” - zdenerwował się Downar. - Pamiętajcie, że jestem dziennikarzem telewizyjnym.
- Tak jest.
- Zatankowaliście benzynę?
- Tak jest.
- Broń macie?
- Tak jest. Będzie strzelanina?
- Nie sądzę, ale na wszelki wypadek...
- Dokąd jedziemy?
- Do Jastrzębiej Góry.

Downar sprawdził pistolet, obejrzał dokładnie aparat fotograficzny i począł rozmyślać nad tym, jaką przyjąć taktykę. Nie wiedział oczywiście, czy właściciel białej willi ma coś wspólnego z całą sprawą. Nie mógł też przewidzieć, jak go przyjmie i jak się ustosunkuje do jego prośby. A przecież ten film musiał zdobyć za wszelką cenę. Poza tym niepokoiła go jeszcze jedna sprawa: Kto słyszał, jak ten cymbał zwrócił się do niego per „towarzyszu majorze”. W hallu znajdowało się wtedy, oprócz portiera, któryś stał najbliżej, jeszcze kilka osób. Jeżeli słowa te doszły do osoby zainteresowanej, to został zdemaskowany i w najbliższym czasie może mu być gorąco. Gra szła o dużą stawkę i trzeba się było liczyć z tym, że przeciwnik nie cofnie się przed niczym.

Sierżant Kolec energicznie naciskał gaz i stosunkowo szybko zajechali na miejsce.

- Mam zaczekać?
- Tak. Zaparkujcie wóz w pobliżu. Gdybyście posłyszeli strzał, podjedźcie i wejdźcie do domu. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale wolę się zabezpieczyć.

Tylko w dwóch oknach światło. Downar nacisnął dzwonek. Psy zaczęły gwałtownie ujadać.

Tym razem do furki podszedł rosły mężczyzna.

- Pan do kogo?
- Do pana Tarnowieckiego. Byłem tu wczoraj. Moje nazwisko Downar. Jestem dziennikarzem z telewizji.

- Chwileczkę.

Zniknął. Po paru minutach znowu pojawił się przy furtce.

- Pan Tarnowiecki prosi.

Downar wszedł do znanego już sobie hallu i zatrzymał się wyczekująco.

- Pan będzie łaskaw za mną. Pan Tarnowiecki czeka na pana w bibliotece.

Na ścianach półki z książkami. Na podłodze duży, puszysty dywan. Pod oknem stylowe biurko.

Człowiek podobny do Fernandela podniósł się z kanapy obitej skórą i zrobił kilka kroków w kierunku gościa.

- Witam pana, panie redaktorze. Co za niespodzianka. Bardzo to miło z pańskiej strony, że pan sobie przypomniał o starym samotniku.

Downarowi wydało się, że w tych słowach zadźwięczała drwina.

- Nie odniosłem wrażenia, że pan pędzi żywot samotnika - powiedział.

Tarnowiecki uśmiechnął się.

- To prawda. Całą noc siedziała u mnie ta zgraja. Rozjechali się około dziewiątej. Dopominali się o śniadanie. Lubię czasem otaczać się ludźmi, ale robię to teraz coraz rzadziej. Nudzą mnie. Im jestem starszy, tym bardziej ludzie mnie nudzą. Bardzo rzadko spotkać można naprawdę interesującego człowieka. Nie wiem, czy mi się zdaje, ale odnoszę wrażenie, że świat głupieje w przyspieszonym tempie. Tych ludzi, których pan tutaj widział, interesują prawie wyłącznie marki samochodów, komisowe ciuchy, alkohol i pornograficzne filmiki. Prawdę mówiąc nie wiem, po co oni usiłują zdobywać pieniądze. Nie umięją z nich korzystać.

- Dawno pan tu mieszka? - spytał Downar.

- Kilka lat, może osiem, a może dziesięć. Nienawidzę zastanawiać się nad uciekającym czasem. Przyjechałem tu z Londynu. Byłem tam współnikiem dużej firmy eksportowej. Znudziło mi się. Zateśkniłem za krajem. Sprzedałem swój udział i przyjechałem tutaj. Ten dom budował jeszcze mój ojciec. Dawne sentymety. Czy pan wie, że dużo jeździłem po świecie, widziałem kraje południowe i kraje północne, ale nigdzie nie widziałem piękniejszego morza jak tutaj, w Jastrzębiej Górze. Już się stąd nie ruszę. Bank Angielski przysłał mi procenty na PKÓ. Żyję spokojnie. Jestem niezależny. Czegóż więcej człowiek w moim wieku może chcieć? Napije się pan czegoś, panie redaktorze?

- Nie, dziękuję bardzo. Niech się pan nie trudzi.

- Mam doskonałą nalewkę, swojej roboty. Musi pan spróbować kieliszeczek.

Podniósł się i z małego barku wyjął pękata karafkę.

- Widzi pan, jak opalizuje. Piękny kolor.

- Wyśmienite - powiedział z przekonaniem Downar, umoczywszy wargi w aromatycznym płynie. - Ja właściwie przyjechałem do pana w pewnej sprawie.

Tarnowiecki podniósł brwi do góry.

- Słucham? Cóż to za sprawa?

- Boję się, że pan będzie się ze mnie śmiał.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Bo to, o co chcę pana prosić, jest bardzo głupie. Na pewno się pan zdziwi.

Tarnowiecki potrząsnął głową.

- Och, nie. Może być pan zupełnie spokojny. Już bardzo dawno przestałem się dziwić czemukolwiek. Proszę mówić śmiało.

- Chodzi o te filmy - powiedział z dobrze udanym zażenowaniem Downar.

- Podobały się panu?

- Spodobała mi się bardzo dziewczyna.

- Która?

- Ta, która tańczy na dachu samochodu. Byłbym panu niezwykle zobowiązany, gdyby pan mógł mnie z nią skontaktować.

- Zrobiłbym to z największą przyjemnością - uśmiechnął się życzliwie Tarnowiecki. - Ma pan dobry gust. To śliczna dziewczyna. Niestety straciłem ją z oczu. Nie wiem, gdzie się obraca. Wtedy przyprowadził ją do mnie Wikary.

- Wikary?

- Tak go tu wszyscy nazywali. Jego prawdziwego nazwiska nawet tnie pamiętam. Zabawna figura. Taki jakiś obieżyświat. Podobno kiedyś chciał zostać księdzem. Zapewne stąd to przezwisko. Przyprowadził go tutaj do mnie któryś z moich przyjaciół. Nawet dosyć polubiłem tego Wikarego. Miał taki specyficzny rodzaj inteligencji.

- I co się z nim stało?

- Nie mam pojęcia. Zniknął tak samo nagle, jak się pojawił. To dawne czasy. Chyba ze dwa lata temu. Zapomniałem już o nim. Rzeczywiście tak panu wpadła w oko ta dziewczyna?

- Ogromnie mi się spodobała. Fantastyczna babka.

- Chciałby pan może jeszcze raz obejrzeć ten film?

- Z przyjemnością, ale nie chcę panu sprawiać kłopotu.

- To żaden kłopot. Wystarczy uruchomić aparat projekcyjny. Sądzę, że pan umie się obchodzić z tą maszyną.

- Oczywiście.

Tarnowiecki wyjął z biurka blaszane pudełko z taśmą.

- Przejdźmy do tamtego pokoju. Jeszcze nawet ekran wisi na ścianie.

Downar zajął się projektorem. Tarnowiecki usiadł w fotelu blisko ekranu.

Zaczął się film.

W momencie kiedy pojawiło się najwyraźniejsze zbliżenie twarzy Wikarego, Downar błyskawicznie wyciągnął z kieszeni szczyroryk i zaciął się w palec.

- Oj, do diabła - syknął, zatrzymując projektor.

- Co się stało? - spytał Tarnowiecki.

- Nic, nic, głupstwo. Skaleczyłem się.

- Niech pan pokaże. Ależ krwawi. Zaraz panu przyniosę jodynę i bandaż.

- Nie trzeba. Niech pan się nie fatyguje. To przecież drobnostka.

- Od takiej drobnostki można dostać zakażenia.

Tarnowiecki wyszedł.

Downar szybko wyjął aparat fotograficzny i kilkakrotnie sfotografował obraz znajdujący się na ekranie.

Potem nastąpiło przemywanie palca wodą utlenioną, jodynowanie i bandażowanie. Downar był wzruszony troskliwością swego gospodarza.

- Doprawdy przykro mi, że narobiłem panu kłopotu.

- Ależ drobnostka. Nie ma o czym mówić. Musiał się pan skaleczyć o tę

piekielną maszynę. Czy oglądamy film do końca?

- Oczywiście. A nie mógłby mi pan odsprzedać tej taśmy?

Tarnowiecki z uśmiechem potrząsnął głową.

- Niestety, to niemożliwe. Widzi pan, w tych naszych zabawach obowiązuje fair play. My możemy w ścisłym kółku oglądać te rzeczy, ale nie możemy tych filmów wypuszczać w świat. Wikary i jego przyjaciółka mieliby do mnie uzasadnioną pretensję.

- Rozumiem i przepraszam.

- Widzę, że pan się nie na żarty zainteresował tą nagą pięknnością.

- Przyznaję, że już dawno żadna kobieta tak mi się nie podobała.

- Żałuję, że nie mogę panu pomóc w odszukaniu jej.

- W tej sytuacji może mi pomóc tylko przypadek - uśmiechnął się

Downar. - Dziękuję panu za gościnę i przepraszam, że zabrałem tak dużo cennego czasu.

- Było mi bardzo miło - skłonił uprzejmie Tarnowiecki. - Proszę o mnie nie zapominać.

Sierżant Kolec odetchnął z prawdziwą ulgą.

- Bałem się, towarzyszu majorze, że coś nieklawo. Już chciałem odbezpieczyć pistolet i zasuwać do tego domostwa.

- Wszystko w porządku - powiedział wesoło Downar. - Poszło łatwiej niż się zdawało.

- Dokąd teraz?

- Do Gdańska. Do komendy wojewódzkiej. Dodajcie gazu. Śpieszy mi się.

- To nie jaguar, towarzyszu majorze - uśmiechnął się sierżant.

Oficer dyżurny zakomunikował służbiście, że w komendzie nie ma już o tej porze ani komendanta, ani zastępcy.

- Połączcie mnie z prywatnym mieszkaniem zastępcy komendanta. Sprawa bardzo pilna.

Rozmowa była krótka, ale treściwa.

- Zależy mi bardzo na odciskach palców tego jednorękiego cudzoziemca. U oficera dyżurnego zostawiam błonę fotograficzną. Trzeba natychmiast wywołać; zrobić duże powiększenie i rano odwieźć to do Warszawy, do kapitana Nowickiego. Zaraz go zawiadomię, żeby czekał na tę przesyłkę. Na razie to wszystko. Będziemy w kontakcie.

Cześć.

Było już dobrze po północy, kiedy Downar wrócił do Sopotu. Był zmęczony i z przyjemnością myślał o wygodnym łóżku.

Wsunął klucz w zamek, ale nie mógł go przekręcić. - Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Do diabła - pomyślał. - Widocznie zapomniałem zamknąć.

Wszedł i wyciągnął rękę w kierunku wyłącznika. Nagle zatrzymał się. Nie zapalił światła. Za zasłoną, na tle oświetlonego z ulicy okna, zobaczył nieruchomą sylwetkę. Błyskawicznie położył dłoń na kolbie pistoletu.

ROZDZIAŁ VII

Była bardzo blada.

- Co pani tu robi?

Milczała. Wargi jej drżały.

- Co pani tu robi? - powtórzył.

- Ja... ja...

Wsunął pistolet do futerału ukrytego pod marynarką i wskazał fotel.

- Niech pani siada.

Usiadła. Trzęsa się, chociaż w pokoju było bardzo ciepło.

- Niech się pan na mnie nie gniewa - szepnęła błagalnie.

Downar przysunął sobie krzesło i wyciągnął paczkę caro.

- Zapali pani?

Wzięła papierosa i łąpczywie zaciągnęła się dymem.

- Dziękuję.

- No więc może mi pani wreszcie powie, co pani robi w moim pokoju?

- Nie domyśla się pan?

- Nie.

Powoli odzyskiwała pewność siebie.

- Och, jacy wy mężczyźni jesteście niedomyślni - westchnęła. - W jakim celu młoda dziewczyna zakrada się do męskiego pokoju? Jak panu się zdaje?

- Różne mogą być cele takich odwiedzin.

- Przyszłam do pana, bo pana kocham.

Downar rzucił jej szybkie spojrzenie. Potem rozejrzał się po pokoju.

- To interesujące - powiedział z uśmiechem. - Musi to być niezwykła miłość, jeśli pchnęła panią aż do przeszukiwania moich rzeczy.

- To nie ja... To nieporozumienie... Naprawdę...

Downar zgasił papierosa w popielniczce i powiedział wolno, wyraźnie akcentując każde słowo:

- No cóż... Nie pozostaje mi nic innego, jak zawiadomić portiera i prosić, żeby sprowadził milicję.

Zerwała się.

- Błagam pana... błagam... Niech pan tego nie robi. Niech mi pan daruje. Zrobię wszystko... wszystko... Tylko niech pan nie sprowadza milicji.

Podeszła bliżej i mocno pocałowała go w usta. Odsunął ją i potrząsnął głową,

- Niech się pani nie fatyguje. Nie interesuje mnie ta propozycja. Nie mam zwyczaju romansować z hotelowymi złodziejkami.

- Ja nie jestem złodziejką - oburzyła się.

Downar wstał i pchnął ją energicznie na fotel.

- Posłuchaj, dziecko. Dosyć już mam tych żartów. Czego tutaj szukałaś? Kto cię napuścił? Gadaj. Ale już, bo jak nie, to zaraz każę cię zamknąć do kryminału.

W milczeniu gryzła dolną wargę.

Downar odczekał chwilę, a następnie, bez słowa, wyciągnął rękę w kierunku telefonu.

- Nie, nie... Błagam pana. Powiem, wszystko powiem...

- No więc?

Wyłamywała sobie palce. Nie mogła się zdecydować.

- No więc? Mówisz, czy mam sprowadzić milicję?

- Boję się, bardzo się boję - jęknęła.

- Czego się boisz?

- On mnie zabije.

- Kto?

- Wikary.

Powiedziała to tak cicho, że Downar raczej domyślił się z ruchu warg, aniżeli usłyszał.

- Jeżeli pani będzie ze mną szczerą, to proszę się niczego ani nikogo nie obawiać. Biorę panią pod swoją opiekę.

Wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

- Och, Boże! Jaka ja jestem nieszczęśliwa, jaka nieszczęśliwa. Wolałabym już nie żyć.

Przysunął się do jej fotela i delikatnie pogładził po głowie.

- Proszę nie rozpaczać. Wszystko będzie dobrze. Niech pani tylko ma do mnie odrobinę zaufania.

- Ja już dawno... ja już bardzo dawno chciałam z tym wszystkim skończyć, ale... ale nie miałam odwagi. To straszny człowiek.

- Obronię panią przed nim. Damy sobie radę. Zobaczysz pani. Proszę mi teraz powiedzieć, czego pani szukała w moim pokoju.

- Kazał mi sprawdzić... Kazał mi zobaczyć te dokumenty, które pan dzisiaj otrzymał...

- Usłyszała pani moją rozmowę w hallu.

- Tak. Właśnie wychodziłam z hotelu, żeby się spotkać z Bobem. Posłyszałam, że tamten człowiek mówił do pana „panie majorze” i że coś panu przywiózł...

- Ale tego „coś” nie znalazła pani tutaj?

- Nie. Nie zdążyłam wszystkiego dokładnie przeszukać.

- A z kim pani siedziała w kawiarni? Taki wysoki mężczyzna bez lewej ręki.

- Ahmed Bakelis.

- Turek czy Arab?

- Sama dobrze nie wiem. Raz mówi, że jest Grekiem, potem znowu, że Arabem. Podobno matka jego była Niemką. Mieszka stale w Wiedniu. Dużo podróżuje. Opowiada różne rzeczy. Ale czy wszystko prawda?

- A Wikary? - spytał Downar.

W oczach dziewczyny zobaczył stracę,

- Niech mnie pan o niego nie pyta. Błagam.

- Tak go się pani boi?

- Okropnie. To straszny człowiek. On może zabić.

- Niech pani będzie zupełnie spokojna. Nic pani nie grozi. Od tej chwili jest pani pod moją opieką.

Z całej siły chwyciła go za rękę.

- Zrobię wszystko, żeby tylko od nich się uwolnić. Już nie mogę, nie mam sił. Gdyby to dłużej trwało, odebrałabym sobie życie. Nieraz myślałam o

samobójstwie, ale nie miałam odwagi.

- Pomogę pani skończyć z tym życiem. Proszę mi powiedzieć, czy Wikary wie, jak ja wyglądam.

- Nie. Porozumiewałam się z nim telefonicznie. Nie widział pana.

- To dobrze. Niech mi pani jeszcze powie, co pani wie o złotym centaurze.

To taka maskotka.

- Złotego centaury miał w swoim mercedesie Roger. Nie przyniósł mu szczęścia. Zabił się.

- Gdzie dostał taką maskotkę?

- Przywiózł mu ją Ahmed z Aten. Tak przynajmniej mówił.

- A tym mercedesem jeździł także i Wikary.

- Tak. Czasami. Wiem, że Roger nie lubił pożyczać mu wozu.

- Niech mi pani powie, kto tym razem wywozi towar?

- To pan wszystko wie? - zdziwiła

- Jeszcze nie wszystko, ale już sporo - uśmiechnął się Downar. - Więc kto?

- Tego mi nigdy nie mówią. Może Wikary, może Ahmed, może jeszcze ktoś, kogo nie znam...

Downar pokiwał głową.

- Rozumiem. Chciałbym pani coś zaproponować, panno Alicjo.

- Słucham. Zrobię wszystko, co pan każe.

- Niech pani wyjdzie teraz z hotelu, niech pani wsiądzie w taksówkę i niech pani pojedzie do Gdańska, do pana Ahmeda Bakelisa.

- Boję się, bardzo się boję - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią uważnie. Zastanawiał się.

- No dobrze. Pojedziemy razem.

- Czy ja muszę z panem jechać? Jestem taka zmęczona...

-Niestety, muszę panią zabrać ze sobą.

- Przecież panu nie ucieknę.

- To nie o to chodzi.

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Strasznie tu duszno - powiedziała Alicja. Zbliżyła się do balkonu i nim zdążył temu zapobiec, rozsunała zasłony.

- Co pani robi?

- Wpuszczam trochę świeżego powietrza. Nie ma czym oddychać.

Machnął ręką i połączył się z komendą.

- Przyślijcie mi zaraz wóz. Niech czeka na mnie tam, gdzie wtedy, na ulicy Majkowskiego. Za dziesięć minut wychodzę z hotelu. Powiedzcie kierowcy, że pojedzie ze mną do Gdańska.

- Bardzo jestem zmęczona - westchnęła.

- Ja także. Drugą noc nie śpię.

- Ma pan dużo pracy. Uśmiechnął się.

- Takie osoby jak pani przysparzają mi jej.

- Ach, żeby pan wiedział, jak ja mam tego wszystkiego dość.

- Ma pani teraz okazję zacząć nowe życie.

- Czy zamkną mnie do więzienia?

- To będzie zależało - powiedział wymijająco. - Idziemy. Czy ma pani płaszcz? Zbiera się na burzę.

- Nie.

- Mniejsza z tym. W wozie pani nie zmoknie.

Czarna wołga czekała już na nich w głębi ulicy. Przy kierownicy siedział młody, przystojny chłopak. Miał czarne, wypomadowane włosy. Pachniał brylantyną.

Co oni tu takich gigolaków angażują na kierowców? - pomyślał Downar. Głośno zaś powiedział:

- A gdzie to sierżant Kolec?

- Poszedł do domu, towarzyszu majorze. Dwadzieścia cztery godziny miał służbę. Dokąd jedziemy?

- Nie powiedzieli wam, że jedziemy do Gdańska?

- Powiedział mi oficer dyżurny, ale wolę się upewnić. Mogło się coś zmienić.

- Nic się nie zmieniło. Jedziemy do Gdańska, do komendy wojewódzkiej.

Downar z Alicją ulokowali się na tylnym siedzeniu. Pachnący brylantyną brunet zapalił motor.

Ruszyli, rozwijając od razu dużą szybkość.

- Nie tak ostro, kolego - powiedział Downar.

Nie dojechali do Gdańska. Mniej więcej w połowie drogi wóz zaczął zwalniać, aż wreszcie zupełnie stanął.

- Co się stało?

Kierowca wysiadł.

- Coś mi w motorze nawala, cholera jasna. - Otworzył maskę i zaczął szukać uszkodzenia. - Gdyby towarzysz major mógł mi poświecić latarką...

Downar wysiadł, wziął od chłopaka latarkę i pochylił się nad motorem. Znał się trochę na tym.

W tym momencie poczuł na plecach lufę pistoletu.

- Hande hoch!

Zaskoczenie było zupełne. Podniósł ręce do góry.

Kierowca szybkim ruchem wyrwał mu broń spod marynarki, wyjął magazynek i kulę z lufy i rozładowany pistolet wsunął z powrotem do futerału.

- Teraz może się pan tym bawić, panie majorze - powiedział z uśmiechem, zadowolony ze swojego dowcipu.

Downar nie poruszył się. Mężczyzna stojący za nim ciągle naciskał mu lufą kręgosłup.

- Komen Sie mit! - padł zdecydowany rozkaz.

Za zakrętem stał szary lincoln. Alicję ulokowano przy kierowcy. Downar usiadł z tyłu z prawej strony koło mężczyzny z pistoletem. Dopiero teraz wyraźnie zobaczył jego twarz. Był to ten jednoręki cudzoziemiec, którego widział wtedy w kawiarni z Alicją. Ahmed Bakelis. Nie wypuszczał z ręki pistoletu.

Ruszyli w kierunku Oliwy. Lincoln pochłaniał przestrzeń z nieprzepisową szybkością. Pachnący brylantyną brunet prowadził wóz brawurowo. Alicja siedziała koło niego skurczona, milcząca.

Po obu stronach szosy wyrosły drzewa. Zwolnili. Gwałtowny skręt kierownicą

i samochód wpadł w gęstwinę. Zgrzytnął hamulec.

Rozwałą mnie tu - pomyślał Downar i zrobiło mu się nieswojo. Uczucie strachu zostało jednak natychmiast zniwelowane wściekłością. - Tak wpaść. Tak się dać nabrać... Jak pierwszy lepszy początkujący dureń. Niechże to wszyscy diabli.

Brunet wysunął się zza kierownicy, obszedł wóz dookoła i stanął przy drzwiczkach, przy których siedział Downar.

- Wysiadać!

- A to niby dlaczego? Dobrze mi się tu siedzi.

- Aussteigen! - rozkazał Ahmed, otwierając drzwiczki, żeby wysiąść. Był wysoki. Musiał się pochylić.

Ten właśnie ułamek sekundy wykorzystał Downar. Chwycił uzbrojoną dłoń i wykręcił ją z całej siły. Pistolet upadł na podłogę samochodu. Downar podniósł, go błyskawicznie, wyskoczył z wozu i krzyknął:

- Ręce do góry!

Nie docenił przeciwnika. Ahmed z małpią zwinnością kopnął go ciężkim butem w rękę. Pistolet zatoczył mały łuk i wpadł pod wóz.

W następnej sekundzie Downar runął na przeciwnika i wtedy przekonał się, że „jednoręki” cudzoziemiec doskonale włada obydwoma rękami. Był niezłym bokserem. Jego lewy sierp powalił Downara na ziemię. Padając dostrzegł kątem oka nadbiegającego kierowcę. Sytuacja była trudna.

W tym momencie Alicja nacisnęła gaz. Lincoln ruszył, odsłaniając leżący na mchu pistolet.

Jeden szybki ruch i Downar był uzbrojony.

- Nie ruszać się - warknął. - Ręce do góry!

Spełnili rozkaz. Nie wyglądał na człowieka, który żartuje.

Podszedł bliżej, kazał im się odwrócić tyłem i zdjąć paski.

- Zwiąż mu ręce - powiedział, trącając lufą pistoletu kierowcę. - Tylko żadnych kawałów. Jeden podejrzaný ruch, a łeb ci rozwałę.

Wiązał z takim zapalem, że aż Ahmed syknął z bólu.

- Nie tak mocno - upomniał go Downar - Skórę mu poprzecinasz. - Drugim paskiem związał przystojnego bruneta, a swoim własnym połączył ich razem, żeby mu się nie rozbiegli.

Potem pchnął obydwóch przed sobą.

- Jazda. Ruszajcie.

Wyszli na szosę.

Parę samochodów minęło ich, nie zatrzymując się. Wreszcie radiowóz milicyjny.

- Downar pokazał swoją legitymację służbową.

- Natychmiast szukajcie szarego lincolna - powiedział.

Porucznik roześmiał się.

- Już mamy tę ciziulę, towarzyszu majorze. Nasi ludzie ją wiozą. Jadą za nami.

- Jakżeście na nią wpadli?

- Sierżant Kolec z Sopotu odzyskał przytomność i zaalarmował swoją komendę. Radiowozy z Gdańska i z Gdyni zablokowały szosy...

- Ogłuszyli go?
- Jasne. Podobno jakiś facet poprosił go o ogień, a potem nic już nie pamięta. Ocknął się gdzieś niedaleko Grand Hotelu.
- A wy jesteście z Gdyni?
- Tak jest. Zatrzymaliśmy babkę między Orłowem a Gdynią. Próbowaliśmy uciekać, ale strzeliliśmy parę razy na postrach i zatrzymała wóz.
- Dobra robota - pochwalił Downar. - Zabierajcie tych klientów i jazda komendy -dodał, wskazując swoich jeńców. - Tylko uważajcie, bo ten „bezręki” wali tak tą ręką, której nie ma, że może szczękę pogruchotać.
- Lepszy jakiś inwalida - zaśmiał się porucznik. - Dokąd ich zawieziemy?
- Do Gdańska.

Ahmed Bakelis do niczego nie chciał przyznać. Zrobił straszliwą awanturę i odgrażał się, że jego ambasada złoży notę protestacyjną w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. On nie pozwoli się tak traktować... Nie brał udziału w żadnym porwaniu. To jego porwano, związano i skradziono mu samochód marki lincoln. On jest poważnym, solidnym kupcem i milicja nie ma prawa...

Dopiero kiedy z jego sprytnie wydrążonej protezy wydobyto większą ilość kokainy w plastikowym opakowaniu, trochę stracił swój pierwotny tupet, ale ciągle jeszcze miał obrażoną i bardzo godną minę. Twierdził, że jest lekarzem, naukowcem i że kokaina jest mu niezbędna do jego doświadczeń. Na zapytanie, dlaczego używa protezy, skoro obydwie ręce ma całe i najzupełniej sprawne, nie potrafił dać jasnej odpowiedzi. Żadnego Wikarego nie zna i nigdy nie spotkał.

Rozmowa z młodym entuzjastą brylantyny była łatwiejsza.

Wyszło na jaw, że nazywa się Ryszard Welnik i że mieszka stale w Warszawie. Nigdzie nie pracuje. Utrzymuje się z dorywczych prac zleconych. Jakiego rodzaju są te prace zlecone, trudno mu było wyraźnie określić.

Downar od razu na wstępie dał mu do zrozumienia, że jeżeli nie zdecyduje się na szczerą rozmowę, to może przeżyć bardzo przykre chwile. Szkoda, żeby taki przystojny młodzieniec stracił swoją urodę przez głupi upór.

Chłopak trząsał się ze strachu i przysięgał, że powie absolutnie wszystko.

Niewiele jednak wiedział. Był tylko siłą pomocniczą. Owszem, słyszał kiedyś o Wikarym, ale nigdy go nie widział i nie ma pojęcia, gdzie go szukać. Wiedział natomiast, że „szefowie” mieli sporo takich drobnych agentów jak on. Tak, woził czasami mniejsze partie towaru, prowadził wóz, werbował młode dziewczęta, które nawiązywały kontakty z cudzoziemcami i z bogatymi Polakami przyjeżdżającymi z zagranicy. Bardziej szczegółowych danych o całej szajce nie potrafił udzielić.

Downar doszedł do wniosku, że wszystko to jest prawdą. Welnik nie był typem człowieka, do którego handlarze narkotyków mogliby mieć zaufanie. Dobrze prowadził samochód, był przystojny i nic więcej.

Rozmowa z Alicją miała przebieg dramatyczny.

- Chciałem pani pomóc. Dawałem pani szansę. Nie skorzystała pani z tego. Trudno. Poniesie pani konsekwencje swoich czynów.

Pląkała spazmatycznie.

- Taka jestem nieszczęśliwa, taka nieszczęśliwa...

Downar nie dał się wzruszyć łzami.

- Sądziłem, żeśmy się dogadali wtedy w hotelu. Pomyliłem się. Rozsunęła pani zasłony i stanęła pani w oknie z zapalonym papierosem w zębach, żeby dać znać swoim współpracownikom. Bardzo sprytnie. Moje uznanie.

- Co ze mną będzie? Co teraz ze mną będzie?

- Niedobrze będzie. Straciła pani okazję, żeby zarobić na okoliczności łagodzącej. Szczerze chciałem pani pomóc, ale...

- Niech mnie pan ratuje. Błagam pana. Niech mi pan nie pozwoli zginąć. Niech mi pan da jeszcze szansę. Błagam.

Downar nie od razu odpowiedział. Zapalał papierosa i w skupieniu przyglądał się dziewczynie.

- No dobrze. Dam pani jeszcze jedną, ostatnią szansę. Proszę mnie skontaktować z Wikarym.

Zaczęła się trząść.

- Nie, nie... Tylko nie to.

- To jest pani jedyna i ostatnia szansa. Tylko w ten sposób może pani trochę poprawić swoją sytuację. Jeżeli pani to zrobi, postaram się pani pomóc.

- Jak mam to zrobić?

- Pani kontaktowała się z Wikarym.

- Tak.

- Osobiście?

- Nie, tylko telefonicznie. Nigdy go nie widziałam.

- A teraz pani wie, jak się z nim skontaktować?

- Wiem. Mam numer telefonu.

- Dlaczego pani dał ten numer telefonu?

- Przeczuwał wpadkę Ahmeda. Liczył się z tym, że towar... Umówił się z Ahmedem, że w razie czego ja zabiorę cały towar i dostarczę go Wikaremu.

- Gdzie pani ma dostarczyć towar?

- Nie wiem. Nie otrzymałam jeszcze żadnych dyspozycji.

- I naprawdę nigdy nie widziała pani Wikarego?

- Nigdy.

- Ani nawet jego fotografii pani nie widziała?

- Nie.

- To on pani także nie zna.

- Oczywiście, że nie. Rozmawialiśmy tylko ze sobą przez telefon,

- Głosy bywają do siebie podobne. Jakżeż wy się poznacie?

- Mamy znak rozpoznawczy.

- Jaki znak?

Alicja zdjęła klips z ucha.

- Oto nasz znak rozpoznawczy.

- Do licha! - wykrzyknął Downar. - Złoty centaur.

- Tak. Złoty centaur.

- A czy macie jakieś hasło?

- Mamy. „Akropolis płonie”.

- Potrzebny mi jest taki znak rozpoznawczy - powiedział Downar.

- To łatwe. Ahmed ma spinki ze złotym centaurem. Downar pochylił się nad biurkiem.
- Niech pani posłucha, Alicjo. Zrobimy tak: Nawiąże pani kontakt z Wikarym, a potem...

*

W szarym, zniszczonym golfie i w poplamionych spodniach wyglądał na marynarza poszukującego pracy. Twarz brudna, ocieniona dwudniowym zarostem, nie wzbudzała zaufania.

Usiadł w kącie sali, wyjął spinkę ze złotym centaurem i przyczepił ją sobie do swetra. Zamówił parówki z kapustą, chleb i ćwiartkę wódki.

Jadł z apetytem, rzucając od czasu do czasu szybkie spojrzenia na siedzących przy sąsiednich stolikach ludzi. Przeważali marynarze, robotnicy portowi, tragarze. Pili wódkę, „przegryzając” piwem albo lemoniadą. Ponad spoconymi głowami unosiły się kłęby tytoniowego dymu.

- Czy można się do pana przysiąść? - Elegant w granatowym garniturze i w nowiutkiej koszuli non iron szerzył zęby w ugrzeczniwym uśmiechu.

Downar skinął głową, nie odrywając oczu od talerza. Wyglądał na człowieka, którego w danym momencie nic poza parówkami nie interesuje.

- Gorąco - powiedział przybysz. Wyjął chusteczkę i zaczął się wachlować.
- Ciepło jak cholera - zgodził się Downar i dalej jadł. Nie zwracał uwagi na intruza. Raz tylko przez ułamek sekundy spojrzał na jego podłużną, opaloną twarz, w której sztuczna uprzejmość nie zdołała zniwelować wrodzonej bezczelności.

- Ładna maskotka - powiedział wreszcie tamten, wskazując na złotego centaury. - Bardzo gustowny drobiazg. Starożytna pamiątka. Był pan w Grecji?

- Nie byłem, ale czytałem ciekawą książkę o Grecji pt. „Akropolia płonie”.
- Masz towar? - padło ledwie dosłyszalne pytanie.
- Ty nie jesteś Wikary - powiedział równie cicho Downar, wycierając talerz kawałkiem chleba.

- Ja jestem Wikary.
- Nie, ty nie jesteś Wikary.
- Skąd wiesz?
- Przecież znam Wikarego, do jasnej cholery. Co ty mi tu zagrywasz, pętaku?

- Wikary przysłał mnie po towar. Sam nie może przyjść. Gdzie Alicja?
- Wpadła. Milicja ją zatrzymała. W Grand Hotelu. To był idiotyczny pomysł, żeby ją napuszczać na pokój tego faceta.

- A Ahmed?
- Prysnał. Oddał mi towar i prysnał.
- Ale w Kanale Kiloństom będzie?

Downar, chociaż nic nie wiedział o Kanale Kilońskim, odparł beż wahania:

- Powiedział, że będzie, chyba żeby mu się coś przytrafiło.
- Dobra. Dawaj towar.

Downar sięgnął pod stół i wyjął bardzo zniszczoną walizkę.

- Trzymaj.

Wspólnik Wikarego pochwycił walizkę i szybkim krokiem wyszedł z knajpy.

Downar włożył płaszcz ortalionowy, nasunął czapkę na oczy i ruszył w ślad za nim. Musiał iść bardzo ostrożnie, żeby się tamten nie zorientował, że jest śledzony.

Kanał Kiloński - myślał. - Więc statkiem. Na pewno jakimś frachtowcem.

Nie omylił się. Człowiek w granatowym garniturze zaprowadził go do portu.

Tutaj Downar przyczepił sobie sztuczną brodę, włożył ciemne okulary i tak ucharakteryzowany śmieiej ruszył za elegantem.

Ostatnie przygotowania. O świcie statek wychodzi w morze.

Elegant błyskawicznie wbiegł po spuszczonej trapie. Downar za nim. Nagle poczuł na ramieniu twardą dłoń.

- A dokąd te, dziadku?

- Do kapitana.

- Kapitan emerytów do służby nie przyjmuje - roześmiał się marynarz.

Downar oderwał brodę, zdjął okulary i pokazał swoją legitymację.

- Sprowadźcie mi tego gościa, który tu przed chwilą wszedł.

- Leona?

- Nie wiem, czy o Leon. Ten w granatowym garniturze. Chcę z nim zaraz mówić.

- Momencik.

Marynarz zniknął. Zaraz potem pojawił się pierwszy oficer.

- O co chodzi?

Downar wyjaśnił, kim jest i czego chce.

Zaczęto poszukiwania. Nigdzie ani śladu eleganckiego młodzieńca. Na pomoc przybyli milicjanci z gdyńskiej komendy. Także go nie znaleźli. Wspólnik Wikarego jakby się zapadł pod ziemię.

Downar odbył krótką rozmowę z kapitanem.

- Czy ma pan na pokładzie człowieka, który używa pseudo Wikary, a nazywa się Marian Bosiewicz?

- Nie, nie ma takiego pośród załogi.

Downar żałował, że nie wziął ze sobą fotografii Wikarego, ale bał się nosić taki kompromitujący dowód. Mogło przecież dojść do tego, że zrewidowałby go któryś z szajki.

- Tęgi, barczysty, z szeroką twarzą.

Kapitan uśmiechnął się.

- Dużo jest barczystych marynarzy. To bardzo ogólne określenie.

- Lubi przebierać się w sutannę.

- W sutannę? - zainteresował się kapitan. - Zaraz, zaraz. Coś sobie przypominam. Podczas zeszłego rejsu na równiku urządzaliśmy tę hecę z chrztem. Felek przebrał się w sutannę.

- Dawajcie tego Felka.

Chłopak był barczysty, tęgi, z szeroką twarzą, ale nie przypominał tego z pornograficznej fotografii. Przerażony patrzył na kapitana.

- Ja nie ukradłem tej wódki, panie kapitanie - wykrztusił. - Słowo honoru. Może poświadczyć...

- Nie chodzi o wódkę - przerwał mu Downar. - Jak to było z tą sutanną?

- Z jaką sutanną?

- Pamiętasz, jakieś się wtedy przebrał w sutannę na równiku i chciałeś dawać ślub radiotelegraficznie z rybą latającą? - wyjaśnił kapitan.

- Pamiętam.

- Skąd miałaś tę sutannę?

- Znalazłem ją w kabinie kucharza.

Downar zerwał się.

- Prowadź mnie do kuchni.

Stał odwrócony plecami i przygotowywał kotlety. Na odgłos kroków odwrócił się.

- Czego pan sobie życzy? Tu nie wolno wchodzić.

Downar odetchnął z ulgą. Tak, to był Wikary.

- Wy się nazywacie Marian Bosiewicz.

- Nie. Nazywam się Kazimierz Fabisiak. To pomyłka.

- Pozwólcie ze mną.

- A to niby dlaczego? Zajęty jestem.

Ujrawszy za plecami Downara mundury milicyjne, kucharz zbladł.

- No - powiedział porucznik Wronecki - pan pozwoli rączki, panie Wikary. Założymy panu bransoletki. Co prawda bez złotego centaury, ale także gustowne. A ten nóż niech pan położy. Na wszelki wypadek. - Kazał wyprowadzić kucharza i zwrócił się do Downara: -Znaleźliśmy, towarzyszu majorze, tego elegancika w granatowym garniturku. Siedział w chłodni. Pierwszorządnie zakonserwowany.

- Dziękuję, poruczniku - uśmiechnął się Downar.

ROZDZIAŁ VIII

Pułkownik Leśniewski skończył czytać raport i spojrzął na oficerów.

- Nie wszystko jest tu dla mnie jasne - powiedział. - Bo to naszkicowaliśmy zupełnie prowizorycznie - pośpiesznie wyjaśnił Nowicki. - Później opracujemy dokładnie, ze szczegółami.

- Czego nie rozumiesz? - spytał Downar.

- Nie bardzo na przykład wiem, na czym opieracie twierdzenie, że Wikary zamordował tego faceta w Olsztynie. Z waszego raportu nie wynika, że się przyznał.

- Bo jeszcze się nie przyznał. Ale to tylko kwestia czasu. Marceli rozpoznał w nim tego księdza, który jechał w tym samym przedziale do Olsztyna. Na buteleczce w wodą kolońską, znajdującej się w walizce Marcelego, znaleziono odciski palców Wikarego.

- Zostawił je podrzucając do walizki kokainę.

- Oczywiście. Widział, jak Marceli wychodził z hotelu. Zakradł się do jego pokoju, nie wiedząc, że tam śpi ten nieszczęsny fotoreporter. Kiedy otwierał walizkę, fotoreporter obudził się i skoczył do niego, myśląc, że to zwykły złodziej. Wikary uderzył go w szczękę, a kiedy tamten zatoczył się i usiadł na łóżku, grzmotnął go oburącz z góry w ciemię i zabił.

- To znaczy, że tego twojego dziennikarza śledzili cały czas.

- Niewątpliwie. Chodziło im o to, żeby podejrzenie rzucić na niego, a nas naprowadzić na fałszywy trop. Chcieli zyskać na czasie, żeby swobodnie

przerzucić za granicę dużą partię kokainy, którą przywiózł ten grecki Turek.

Leśniewski pokiwał głową.

- Tak, to brzmi przekonująco. Niezupełnie tylko rozumiem, jak to było w tym kinie. Dlaczego ta dziewczyna dała paczkę z towarem nieznanemu człowiekowi.

- To proste, towarzyszu pułkowniku - wtrącił się do rozmowy Nowicki. - Alicja miała przekazać towar agentowi, którego nie znała. Kontakt był „kinowy”, to znaczy, że każde z nich otrzymało od Ahmeda czy też od jakiegoś jego pomocnika bilet do kina. Dziewczyna wiedziała, że po jej lewej ręce będzie siedział człowiek, któremu ma wręczyć towar. Tak też zrobiła. Przypadek zrządził, że tego faceta okradziono w tramwaju. Zrobił to konik, którego odnaleźliśmy przy pomocy Marcelgo. W skradzionym portfelu znajdował się ów bilet kinowy. Konik sprzedał bilet dziennikarzowi i stąd całe nieporozumienie.

- Mam nadzieję, że nie zapomnieliście zwolnić tego biedaka - powiedział Leśniewski.

Downar roześmiał się.

- Nie sądzisz chyba, że ciągle jeszcze siedzi w areszcie śledczym. Już dawno rozkoszuje się szczęściem rodzinnym. Tyle było radości. Tacy byli oboje uszczęśliwieni.

Żegnając się Leśniewski powiedział:

- Wpadnijcie do mnie jutro wieczorkiem, prywatnie, na kielicha. Pogadamy sobie jeszcze o Wikarym i o złotym centaurze.

Wrócili do pokoju Downara.

- Słuchaj - powiedział Nowicki. - Nie wyjaśniłeś mi jeszcze jednej rzeczy.

- Mianowicie?

- Skąd te bandziory wiedziały, żeś kazał sobie wtedy przysłać wóz z komendy i że kierowca będzie na ciebie czekał na ulicy Majkowskiego.

Downar skrzywił się niechętnie.

- Mógłbyś mi nie przypominać o tej mojej kompromitacji. Zachowałem się jak skończony idiota. Nie mogę sobie tego darować.

- Nie przesadzaj.

- Ależ tak. Nietrudno przecież było się domyślić, że obserwują mnie i komendę w Sopocie. Kiedy Alicja dała znak tym rozsunięciem zasłon, to facet stojący na czatach przed Grand Hotelem nadał wiadomość radiową do lincolna, który kręcił się w pobliżu komendy. Pojechali za wołgą, dali w łeb kierowcy i za kierownicą usadowił się ten wypomadowany miglanc. Wydał mi się podejrzany, ale tak się śpieszyłem... Szlag mnie trafia, jak o tym myślę.

- Nie przejmuj się - pocieszał go Nowicki. - Teraz to już nieważne. Grunt, że cię nie kropnęli i że mamy pod kluczem Ahmeda i Wikarego. To najgrubsze ryby w tej sprawie. Teraz trzeba będzie jeszcze parę drobniejszych płotek wyłowić. Zaraz się do tego zabierzemy. A propos. Co byś powiedział na to, żebyśmy sobie skoczyli na rybkę do tej rybnej knajpy na Puławską?

- Myśl jest przednia - zgodził się bez wahania Downar. - Wypijemy po jednym pod rybkę i pod złotego centaura.

KONIEC

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...



W dwadzieścia tysięcy kopiejek głos:

- Ktoś może widzieć w bokach. To był białe głębi
kawał z tym odłam. Jakiś nie odlaty, jak tego w ciągu
człowieka, nie tycał na patkach tycał. Jaka odlewany
da prze.

- Na mówić?

Wieszcieś to.

- Półtora przygotował nawet i został na wiadomości.
Zostanie pan doświadczyć porównawczy z tym, gdzie i
kiedy odlaty pan to przebieg, kiedy pan przebieg
przyjmał w klasie. Do widzenia i zachęca bramki!

W domu czekała przysłał się Joannas.

- Co mi się tak przypomniał?

- Zastanawiam się nad tym, czy ci byłoby to miły w
palcie...